Nr. 5. Lwów, 1. Grudnia 1885. Rok I.

STRAŻNICA POLSKA

PISMO
POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNE
wychodzi
dwa razy na miesiąc, każdego 1. i 15.
Pojedyńczych Nrów nie sprzedaje się.

PRENUMERATA
na „Strażnicę polską“ wynosi:
Kwartalnie:
We Lwowie: bez przesyłki 1 zł. 50 ct.
„ z przesyłką 1 „ 60 „
Na prowincyi: . . . . 1 „ 70 „
Za granicą: . . . . 2 „ — „

REDAKCYA w Rynku L. 8.
ADMINISTRACYA Rynek L. 9.
Inseraty od wiersza (petit) 5 ct.
Wszelkie należytości przysyłać należy pod adresem:
Do Administracyi „Strażnicy polskiej“ na ręce p. Szczęsnego Bednarskiego, Lwów, Rynek L. 9.

Rocznica 29. Listopada 1831 r.

Dnia 29. Listopada 1844 r., a działo się to w Poznaniu, w Wielkopolskiej ziemi, przybył do mnie dziś już ś. p. Józef Wilczyński, syn obywatela dóbr ziemskich, który w tym roku kończył gimnazyum. Był to młodzieniec nad wiek poważny, niepokalanie czystego żywota, wielkich zdolności, a jeszcze większego poczucia patryotycznego. Jakkolwiek zamożny, a nawet majętny, wychowany był przez ojca swego, który pierwszy dawał do tego przykład, nie ze skąpstwa, ale z patryotycznego poglądu na smutny stan Ojczyzny, w warunkach takiej skromności i ograniczeniu potrzeb, że nikt n. p. nie widział inaczej ojca i syna ubranych, jak w najtańszych szatach z sukna szaraczkowego, a całą ozdobą ich szat była ich czystość. Latem oddawały takie same usługi ubiory z płótna domowego. A przecież p. Wilczyński na Krzyżanowie i innych dobrach dziedzic, był właścicielem znacznej fortuny.

Józef, syn młodszy, był w owym czasie apostołem najczystszej idei demokratycznej pomiędzy młodzieżą Wielkopolską, nietylko w szkołach, ale wpływy te sięgały i do młodzieży uniwersyteckiej w Wrocławiu, Berlinie, Gryfii, Bonn, Halli i t. d. w ogóle, gdzie chociaż szczupłe grono było przedstawicieli synów polskiej ziemi.

Józef Wilczyński, aczkolwiek był wielce wyrozumiały na różne usposobienia i nawyczki ludzkie, sam był to prototyp patryotycznego anachorety, apostoła idei narodowej, o jakim dzisiejsze pokolenia nie mają już nawet pojęcia. Pomimo, że otrzymywał dosyć znaczne fundusze od rodzica, sam żył jak ostatni biedak, żył, aby tylko ciało utrzymać przy siłach, a resztę rozdawał pomiędzy biednych kolegów, walczących o byt codzienny i w ogóle na cele, które przez oświatę dążyły do naszej przyszłości.

S. p. Józef był dziwnie cichy i przesuwający się pomiędzy społeczeństwem jakby cień nieznaczny, a pomimo to działalność jego była wielka. Nie mogło też być inaczej, iż najpoważniejsi patryoci wielkopolscy znali go i wielce poważali, a głos tego młodzieńca miał posłuch nawet u najznakomitszych ówczesnych ludzi, jakimi byli n. p. dr. Karol Marcinkowski, Tytus Działyński, Karol Libelt, Seweryn Milżyński, Jędrzej Moraczewski i inni znakomici patryoci.

Otóż Józef Wilczyński przybywszy do mnie i upewniwszy się, że nikogo nie ma, rzekł do mnie:

— Czy wiesz bracie, jaka to dzisiaj wielka rocznica?

— Wiem i dlatego odczytuję „Noc 29.“, jak ją opisuje Mochnacki.

— To dobrze, bo lepiej sobie uprzytomnisz tę wielką chwilę. — Ale mam się z czemś bardzo ważnem z tobą podzielić. Dziś patryoci obchodzić będą tę rocznicę; upoważniony zostałem przez nich, aby zawezwać do udziału grono młodzieży naszej, ale w liczbie zaledwo kilkunastu. Otóż do tych i ty wybrany zostałeś. Ale pamiętaj, że to jest tajemnica, dla każdego z nas święta, bo możemy się tylko gromadzić w warunkach największej ostrożności, inaczej wiesz, żebyśmy się znaleźli natychmiast za kratami więzienia.

Udzieliwszy mi bliższych objaśnień jak się zachować, a szepnąwszy hasło na ucho, po braterskiem uściśnieniu ręki — wyszedł.

Wieczorem po godzinie 6. gdy się ściemniło, udałem się na ulicę Fryderykowską, do długiego dużego domu, który się znajdował naprzeciw gmachu „Landschafty“ czyli towarzystwa kredytowego ziemskiego. Powietrze było fatalne, mgła, dżdża, przenikająca na wskroś. Owinięty szczelnie burką, zbliżałem się ostrożnie. We drzwiach domu dopatrzyłem postać, również w burkę okutaną. Podsunąłem się do niej i dałem hasło po cichu: „Bóg.“ — Postać również tak cicho dała odzew: „Ojczyzna“, a dalej rzekła: — prosto przez sień we drzwi na prawo“. Tam przyjęty zostałem przez drugą postać w pokoju ciemnym i jeszcze raz było powtórzone hasło i odzew. Zdjąłem burkę, pozem wszedłem do drugiego pokoju, już tylko na wpół ciemnego, gdzie zastałem Józefa Wilczyńskiego i jeszcze kilka innych osób. Józef podał mi rękę, a za nim obecni i wskazano podwoje.

Wszedłem do dosyć dużej sali, w której siedziała na około dosyć już znaczna liczba osób, około 30., lecz mało kogo można było spoznać, gdyż zaledwie w końcu sali paliły się dwie świece. Panowała poważna cisza i tylko cichy szept dochodził do ucha. Przychodziły coraz nowe osoby, zajmując wolne jeszcze miejsca, lub stojąc. Gdy zegar wybił godzinę 7. było zebranych przeszło 60 osób.

Otworzyły się drzwi boczne w końcu sali i weszło jeszcze grono, składające się z 6 — 10 osób; a widziałeś pomiędzy nimi starców siwowłosych, służących jeszcze pod naczelnikiem Tadeuszem Kościuszką, w legionach Dąbrowskiego, lub prawdziwych bohaterów z pod Grochowa, Dębego i Ostrołęki, — pomiędzy którymi odbijała szczególniej postać samosierczyka Andrzeja Niegolewskiego. Jakiś dziwny niedający się opisać urok wiał od tych szanownych postaci.

Pomimo obecności takich powag, zajął miejsce pomiędzy dwoma świecami za stołem młodzieniec, Józef Wilczyński, i ten przemówił zaledwie na wpół głośno tak, aby go tylko słyszeć można na sali, o znaczeniu rocznicy. Przedstawił bohaterską walkę i obowiązek obecnego pokolenia przyszłości. Po nim zabrał głos Leon Wegner (zwany przez młodzież Rejtanem), a gdy na zakończenie swego przemówienia wygłosił dziwnie udatny wiersz, pełen patryotycznego ciepła, oddając hołd poległym i obecnym, żyjącym jeszcze bohaterom, z ócz tych dzielnych popłynęły po licach łzy gorące. — A wszystko działo się to w ciszy, jakby w katakombach rzymskich pierwszych chrześcijan..

Odezwał się i któryś ze starców, a był tam i kapłan, kapelan z r. 1831. Ten błogosławił zebranych w duchu, zanosząc modlitwę do Pana Zastępów.

Nastrój był tak rzewny, że przejmował do głębi duszy. Mimowoli chwytało się rękę sąsiada i łączyło z nim w tym bratnim uścisku. Napotykałeś w tym półcieniu na twardą rękę i spracowaną rzemieślnika, lub włościanina, bo tam wszystkie stany były obecne. A gdy nas kilkunastu młodszych otoczyło kołem najstarszych bohaterów i patryotów, ci nas ściskali i błogosławili krzyżem świętym na przyszłą drogę żywota ciernistego i krwawego. Z takiemi samemi ostrożnościami tajemnicy opuszczaliśmy to podniosłe zgromadzenie, pojedynczo, po dwóch, a najwyżej po trzech. Miejscem tego zebrania było mieszkanie urzędnika, Chlebowskiego, który się zaliczał do najpatryotyczniejszych rodów polskich Kalwinów na Wielkopolskiej ziemi.

Lecz nietylko w tem jednem miejscu obchodzono rocznicę 29. Listopada; na dniu tym co najmniej

---

✝
Ś. P.

MARYAN z Oleksowa GNIEWOSZ.

Kadet w 13. pułku ułanów (hr. Trani).

OJCIEC — SYNOWI.

„Nie zostałem żołnierzem, ani dla chleba, a tem mniej dla błyskotek munduru ułańskiego, ale dla idei przyszłości, którą z piersi Matki wyssałem“.
Słowa przedśmiertne, ś. p. Maryana.

Tak jest; ojciec, złamany bolem jak trzcina na stawie, bo straszny piorun, jakby z jasnego nieba uderzył w serce rodzicielskie, gdy wieść hiobowa przecisnęła się aż za kraty więzienne, o nagłym skonie młodzienca w kwiecie wieku, — skreśla jego żywot.

Wy ojcowie i matki, którzy również macie synów, a wychowanych w bojaźni Boga i wielkiej miłości Matki Polski, żyjących również jak Bóg przykazał, odczuwacie zapewne tę wielką boleść, jaką serce ojcowskie i dusza dotknięte, gdy usłyszą: „syn twój, twoja nadzieja, twoja chluba — już nie żyje!“ A nie zginął na polu chwały, ale śmiercią, od której niechaj Pan nad Pany wszechmocny ochrania dziatwę tej nieszczęśliwej ziemi.

Straszny to cios, który ugodził w starego ojca; a jednak nie połączył go zaraz z ukochanym synem, bo ten ojciec widocznie skazany do dźwigania dłużej ciężkich krzyżów na drodze żywota, i jeszcze mogiła się dla niego nie otwiera.

Taka widocznie wola Boża!

Naprzód więc stary wiarusie, żołnierzu polski! Choć serce i dusza krwawemi łzami płaczą, ty pokonaj twój ból, twoją rozpacz, a pomnąc na przysięgę, złożoną w twej młodości, wytrwaj do końca, aż cię trąba, powoła do ostatniego apelu na ziemi, bo takie twoje przeznaczenie.

Nie pycha też, ani próżność dodaje mi w tej chwili sił, aby podać dzieje żywota ukochanego syna. Ale że jestem tylko człowiekiem z krwi i ciała, pozwólcie więc, aby ojciec przechodząc w myśli wiosenne dni dziecka, przedstawił wam i podzielił się tym obrazem niedawnej nadziei przeszłości, aż do obecnej chwili...

Któż ze starszego pokolenia nie pomni pamiętnego roku 1861., gdy z wiosną tegoż na ulicach Warszawy, padło pierwsze hasło do walki śmiertelnej z wrogiem, a jakby z pięciu ran Chrystusowych, broczyła krew z pięciu ciał męczenników tej nowej epoki bojów o niepodległość. Hasło, odczuła cała Polska po wszystkie swe dawne granice.

Z hymnami na ustach gotowali się na śmierć nieustannie nowi męczennicy, składając ochoczo i z rozpromienionem okiem świadomości tego co czynią, żywot na drzewach szubienic.

I jak Polska szeroka, śpiewano pod słonecznem lub gwiaździstem niebem, — w świątyniach Pańskich: „Boże coś Polskę!“

Otóż takiego jasnego dnia, w wigilią narodzenia Matki Boskiej, królowej Polski, dnia 7. Września 1861 r., w województwie krakowskiem, w starej ziemi Lelowskiej, we wsi Poniku pod Janowem, zebrała się liczna rzesza włościan, mieszczan, szlachty i duchowieństwa, ze sztandarami narodowymi na czele i gronem dziewic w bieli, niosących w ofierze Królowej Polski na Jasną Górę, — cierniową koronę.

W kościółku Janowskim wysłuchała tysiączna rzesza Mszy św., a gdy ją kapłan pobłogosławił i pokropił święconą wodą na pielgrzymkę do Częstochowy (odległej trzy mile drogi), podążała rzesza z pieśnią na ustach i modlitwą.

Jedna tylko niewiasta musiała po wysłuchaniu Mszy św. powrócić do domu z powodu stanu swego.

Było południe, gdy ci liczni pielgrzymi obojga płci i nieomal wszystkich stopni wieku, przybyli do Olsztyna, zdobnego dziejowemi ruinami i wieczystą pamięcią bohaterskiej ofiarności Karlińskiego, który wolał jedynego syna poświęcić na niechybną śmierć, aniżeli oddać wrogowi powierzoną mu obronę zamku.

Gdy w Olsztynie należało chwilkę odpocząć, nadciągnęła od Janowa straszna i niepamiętna burza, bijąc piorunem po piorunie tak często i tak blisko, że najodważniejszych dreszcz przejmował. W mgnieniu oka kilka pożarów na widnokręgu wznieciły te gromy. W godzinę jednak niespełna, znowu niebo świeciło pełnym czarem lazuru, a więc i rzesza tysiączna poszła naprzód.

Zbliżając się pod Częstochowę od strony rzeki Warty, ujrzeliśmy po prawej stronie drogi na błoniu rozciągnięty batalion piechoty moskiewskiej,

w kilkunastu miejscach byli zebrani patryoci wszystkich stanów, i w takiem samem skupieniu ducha łączyli się w ogniwa: młodzież szkolna, rzemieślnicy, mieszczanie, duchowni, a wszystko ludzie bez zmazy i bez skazy, nie blagierzy patryotyczni, ale prawdziwi patryoci. Nie wabiły ich tam bankiety, toasty, lub chęć popisów frazesami. Tam się łączyli ludzie niepokalanej czci w życiu codziennem i obywatelskiem. Kto nie posiadał tych przymiotów, ten nie był przypuszczony do tej biesiady ducha. Tajemnica tych zebrań była święta. Kto chciał pracować w sprawie ojczyzny, ten musiał przejść przez ogień probierczy i zyskać świadectwo obywatelskiej prawości. Handlarstwo patryotnictwem nie było jeszcze tak znane i rozpowszechnione jak dzisiaj; a jeżeli istniało, to tylko w tradycyjnych rodach Targowicy. Jeżeli podane było jakieś hasło, to przechodziło przez setki, tysiące ust, bez potrzeby obawiania się zdrady.

Prawda, że od tej chwili ubiega już blisko pół wieku, ale jakaż różnica nie tylko w czasach, ale i w czynach i formach

I dziś obchodzimy wprawdzie tę rocznicę wielkiej pamiątki narodowej. Nie wątpimy na chwilę, że pochop do niej daje niewątpliwie płomień świętego znicza, którego wieki nie zgaszą. Ze smutkiem jednak patrzymy na te obchody, za które nie grożą dziś ani kraty więzienia, kajdany lub inne męki. W państwie konstytucyjnem wolno czcić pamięć przeszłości. Nie potrzeba dla niej szukać schroniska w cieniach lub podziemiach, bo żadnemu obywatelowi nie jest to poczytywane za zbrodnię. A jednak, jakiegoż przykrego wrażenia doznawali ci, którzy byli zebrani na Nabożeństwie żałobnem za duszę bohaterów 29. Listopada i dalszych bojów tej epoki.

Napróżno zwracało się oko, szukając chociażby kilku naszych przedstawicieli kraju, zebranych na Sejmie krajowym. Napróżno szukałeś tych wszystkich wrzekomych przewodników, którzy usiłując jeszcze dziś świecić tradycyą rodów, żądają poszanowania, a oprócz tego nie chcą mieć nic wspólnego z innemi tradycyami narodu.

Przypatrzmy się teraz tym zebraniom wieczornym, bankietem i toastom. Jakiejż szukać różnicy w nich a popisowych koncertach i szmermelach, w których rej wodzą ludzie więcej jak wątpliwego charakteru patryotycznego, narzucający się z poza parawanu kilku osiwiałych starców, wierzących w dobroduszności swej w szczere poczucie takiego patryotnictwa, a tak samo bankiety i toasty, bez których nie dałaby się podnieść wena chociażby tylko na optykę. Jacyżto tam ludzie zabierają głos i pchają się naprzód, jak handlarz zajęczą skórkę, wychwalając swój towar? Osobistości, którymby się powinno zabronić noszenia imienia polskiego, a pomimo to, z ich plugawych dusz i ust, wyrywają się hasła, które są profanacyą, świętokradztwem, wszelkich ideałów narodowych!

Bez bankietów, bez toastów, nie umie się już dzisiejsze pokolenie podnieść do wyższego nastroju, i to w obec tego upokarzającego naród faktu, gdy ostatnia garstka weteranów bohaterów tej wielkiej rocznicy, którą obchodzimy, dokończa żywota w nędzy, jeżeli u naszego wrzekomego patryotyzmu nawet tyle wyżebrać nie można, aby tych ostatnich Mohikanów ochronić od rozpaczy i goryczy, stojących już po nad grobem, i wyciągających doń ręce, aby się otworzył, by tam chociaż schronisko i spokój znaleźli.

Gdy niejeden z wyjców patryotników uderza w kielich na bankiecie, aby tem zaznaczyć swój patryotyzm, weteran, żołnierz bohaterskich bojów z 1831 r. drzy z zimna w wilgotnej norze, nie posiadając środków do rozgrzania skostniałego ciała.

Do takich to poglądów doprowadziło nas rozpamiętywanie 55. rocznicy 1831 roku.

Czy Bóg Wszechmocny pozwoli nam jeszcze obudzić się z tego letargicznego i okropnego snu, i wejść na drogę, prowadzącą do świątyni zbawienia?

Trudna na to odpowiedź, jeżeli cały naród nie uderzy się w piersi ze skruchą i nie wypowie — „moja wina, moja bardzo wielka wina!“ — Ale chcemy wejść na drogę poprawy i Ciebie Boże błagamy: nie skąp nam łaski twojej i miłosierdzia!

J. N. z O. G.

Nasze sympatye.

Zagrzmiały działa na Wschodzie, odbywa się bratobójcza walka na polu bitwy, która ma już dzisiaj do wykazania tysiące rannych i poległych, ziemia serbską i bułgarska została zroszoną krwią i łzami, a mimo tych ofiar w tak krótkim czasie, losy ludów wschodnich nie doczekają się w najbliższej przyszłości ustalenia. Wojna serbsko bułgarska to dopiero wstęp do wielkiego dramatu wojennego. Żyjemy bowiem w przededniu wielkich przewrotów terytoryalnych, które potokami krwi ludów dźwigających się z wiekowego upadku, okupione być muszą. Dążności narodów ku politycznemu odrodzeniu zasługują wtedy na ogólną sympatyę, gdy im przewodniczy duch wolności. Jeżeli zaś walczące narody stają się tylko narzędziem w ręku potężnych grabieżców, wówczas aureola bohaterstwa tracić musi urok w pojęciu obywatelskiem. Kilkunastodniowa wojna serbsko-bułgarska wykazała bowiem, że Moskwa bierze udział bezpośredni w walce przez swoich oficerów i przy pomocy rubli, po stronie Bułgarów.

Sympatya Polaków nie może być przeto po stronie bułgarskiej lecz po stronie serbskiej! Serbia była zawsze krajem gościnnym dla naszych ziomków, dla wygnańców pozbawionych przytułku, okazywała przy każdej sposobności swą życzliwość dla idei odrodzenia niepodległej Polski. Liczny zastęp bułgarofilów w naszym kraju zapomina widocznie o tem, że w szeregach walczących Serbów, znajduje się nie jedno polskie imię; zapomina o tem, że bardzo wielu Polaków zajmuje w serbskiej służbie państwowej wybitne stanowiska. Serbia z całem zaufaniem obdarzyła wielu naszych rodaków (wydalonych nawet z Galicyi) dostojeństwami. Z pomiędzy wszystkich słowiańskich narodów, Serbia najchętniej widziała w zarządzie państwowym Polaków, na dowód czego moglibyśmy przytoczyć nie jedno imię. O życzliwem i przyjacielskiem usposobieniu Serbów względem Polaków, w najkrytyczniejszych chwilach, wiemy z opowiadania rodaków tam żyjących, rodaków, którzy na własnej ziemi nie doznali opieki, z jaką pospieszył naród obcy. Nie mieli w tem Serbowie żadnego interesu osobistego, lecz kierowani byli współczuciem dla narodu, który utracił wolność.

Jak małoduszne są motywa, które mają przemawiać za tem, by Polacy duchem stanęli po stronie Bułgarów, dowodzi okoliczność, że przytaczają niektórzy nasi domorośli politycy, „Länderbank“ jako powód do zwrócenia naszych narodowych sympatyj ku Bułgarom. Sprawki Länderbanku i szkodliwość jego dla kraju jest nam wszystkim bardzo dobrze znana. *Strażnica* należała i należy do tych rzadkich u nas pism, które nieprzerwanie chłostają politykę gründerstwa, wykrywają wszelkiego rodzaju nadużycia „Länderbanku“. Pomimo osobno założonego organu dla obrony polityki „Länderbanku“, instytucya ta jest i będzie w kraju naszym co najmniej niepopularną. Nie idzie jednak zatem, aby ze względu na okoliczność, iż niesympatyczny „Länderbank“ ulokował swoje fundusze w przedsiębiorstwach w Serbii, taka błaha przyczyna decydować miała o naszej narodowej polityce wobec walczącego kraju. Niezawodnie, że ani Serbii, ani Bułgaryi z naszych sympatyj nic nie przyjdzie, lecz naród pozbawiony politycznego bytu, każdej chwili zwracać winien swe baczne oko na wojenne wypadki i być świadom swojej pozycyi i roli, jaka mu przypada wobec wojujących stron, tem bardziej, że jak na wstępie powiedzieliśmy, wojna serbsko-bułgarska to wstęp, po za którym nastąpi akcya, która zadecyduje o losach Europy, a tem samem o sytuacyi Polski.

Kiedy w Budapeszcie rozeszła się pierwsza wieść o wypowiedzeniu przez Serbię wojny, odezwały się jednym chórem okrzyki „Eljen!“ U nas inaczej, inaczej! W Budapeszcie bowiem, każdy wyrobnik nawet jest obywatelem, który wiedziony instynktem samozachowawczym narodu, w pierwszej zaraz chwili wiedział, po czyjej stronie jego sympatya znajdować się winna. W Galicyi zaś potrzeba najpierw poprowadzić dyskusyę, potem okaże się, że wielki brak zmysłu politycznego w masach, potrafie Polaków wobec zagranicy przedstawić we fałszywem świetle, bo w danej chwili nie wiedzą, dokąd dążą.

Przegrane bitwy Serbów, nie dowodzą upadku narodu, nie dowodzą, by naród na wolność nie zasługiwał. Dotychczasowe bowiem rezultata z teatru wojny dowodzą, że całą winę niepowodzeń szukać należy w niedostatecznem przygotowaniu i zbytniej krewkości, która popchnęła do przedwczesnych marszów.

Po doznanych klęskach, naród się ocknie i przyjdzie do samopoznania, iż trzeba przestać walkę wewnętrzną, walkę stronnictw, która tylko naród osłabia i wychodzi na korzyść wrogom. Ofiary na polu bitwy pozostawione, niechaj Ser-

---

sotnię kozaków i dwa działa odprzedkowane, oraz z stojącymi przy nich artylerzystami z lontami zapalonymi.

Naprzeciw pielgrzymów, liczących do dwóch tysięcy, pogalopowało kilku oficerów moskiewskich wraz z trębaczem.

Rzesza na rozkaz stanęła, a parlamentarze, gdy dwóch przebiegło szeregi wzdłuż, i oglądało wózki, bryczki i powozy za rzeszą, pierwszy oficer żądał, aby rzesza się cofnęła, lub w drobnych tylko grupach wchodziła do Częstochowy.

Rzesza stała na miejscu, ale tylko tak długo, ile czasu wymagał ordynek. I tak:

Na samem czele stanęły dziewice w bieli z cierniową koroną, poprzedzane dziatwą z kwieciem w koszykach; dalej niewiasty różnego wieku i stanu, pomiędzy któremi niesiono sztandar z godłami Polski i Matką Boską Częstochowską. Po za nimi szli kapłani, z krzyżami w rękach Dalej szli w porządku wojskowym mężczyzni od młodzieniaszków aż do starców pokrytych siwizną, a znowu wszystkich stanów. Przeważała jednak siermięga chłopska. Szeregi te okalały jakby wieńcem znowu niewiasty.

Rzesza ruszyła, śpiewając: „Witaj Królowo“, nie patrząc nawet na moskiewskie szeregi, lecz na wieżę Jasnogórską, wznoszącą się prawdziwie majestatycznie ku niebu, a oblaną promieniami słońca wrześniowego.

Gdy rzesza miała się równać z szeregami wyciągniętymi obok drogi, komendant tychże kazał nabić broń w jej oczach, i jeszcze raz ostrzegał, że każe strzelać.

Rzesza szła dalej z głośnemi pieśniami. Batalion wziął broń w ramię, a więc tylko jeszcze jedna komenda, aby ją wziął na cel i dał ognia do rzeszy.

W rzeszy nie zauważałeś ani drgnięcia, a gdy się już zrównała z rozwiniętym szeregiem, oczekując co Bóg da, przygotowana nawet na męczeństwo, cóż się dzieje? Moskiewscy żołnierze ujrzawszy i kapłanów z krzyżami, zaczynają bez komendy już padać na kolana i zdejmować kaszkiety. Za tym przykładem poszli prawie wszyscy, bo nawet starszyzna, a widzieć można było, jak i Dońcy zdejmowali czapki, czyniąc znak krzyża na piersiach.

I tak rzesza przeszła w spokoju, a z nią od nowej Częstochowy aż na Jasną Górę połączyły się rzesze kilkudziesiąttysięczne, ze wszystkich ziem i krańców Polski, witających się z płaczem radości i rzucających wzajemnie w ramiona.

Jasna Góra świeciła całą noc tysiącami świateł, a hymny w różnych narzeczach unosiły się ku niebu od zachodu słońca aż do wschodu, gdy pierwszą Mszę św. odprawiał kapłan na zewnątrz kościoła, na balkonie kaplicy Matki Boskiej.

Podczas sumy znowu staliśmy ze sztandarami i koronami cierniowemi przed wielkim ołtarzem, w dzień Narodzenia Matki Boskiej, a ś. p. Ks. Benwenuty Mańka, Bernardyn, kazał głosem apostoła i przyszłego męczennika.

Po podniesieniu ujrzałem przeciskającego się od zakrystyi doktora, który pozostał przy mej żonie; ale zbliżał się z okiem jasnem i radości. Przeczuwałem dobrą nowinę.

Zbliżył się do mnie i mówi: — „Janie, — wczoraj w samo południe urodził ci się syn szczęśliwie, a powitało go dwadzieścia kilka piorunów. Żona twoja zdrowa, wysłała mię tu, aby ci przynieść tę radośną nowinę i abyś za siebie i za nią podziękował Królowej Polski, do której ona podążyć nie mogła z wami.

Na pamiątkę tago wielkiego święta Narodzenia Matki Boskiej, królowéj Polski, dane zostało synowi memu nowonarodzonemu, imię

Maryan.

Chowała się zdrowo dziecina, a w modrzewiowym dworze nie raz omawiano chwile urodzenia pod tak szczególnymi warunkami. Stary dziadek liczący z górą lat 80, a stary żołnierz, okryty licznemi bliznami, unosił się w radości nadzieją, że dziecina wyrośnie na dzielnego żołnierza, który będzie bronić Ojczyzny.

Zaledwie dziecina liczyła szesnaście miesięcy, na dwór modrzewiowy nadszedł dzień ważny. A działo się to dnia 21. Stycznia 1863. Działy się tam niezwykłe rzeczy, sposobiono i przygotowywano różnego rodzaju broń, robiono ładunki, a starzec legionista chodził nieustannie z rozpromienionem okiem, czasami łza spłynęła po pooranem zmarszczkami licu, którą jednak natychmiast obcierał pokryjomu, aby jej młodsi nie dostrzegli.

Gdy słońce zaszło, stanął przed dworem liczny hufiec, a w jednej z komnat starego dworu klęczał syn przed starcem, który go błogosławił. Potem syn pożegnał ukochaną towarzyszkę żywota i pobłogosławił troje drobnej dziatwy. Podniósł najmłodszego syna Maryana i przycisnął do serca, całując w rozpromienione oczęta.

Niedługo potem, dzicz moskiewska napadła dwór i rabowała, a macierz z czworgiem dziatwy, z których ostatni syn liczył zaledwie dni kilka, uchodzić musiała wśród nocy i śnieżycy, tuląc strwożone pisklęta. Starzec pozostał sam, bo jak mó-

bów nie wprowadzają, w rozpacz, gdyż męztwo ich krwią okupione, będzie hartem w pracy obywatelskiej nad odrodzeniem, przedewszystkiem wewnętrznych stosunków królestwa. Tego z całego serca życzymy bratniemu narodowi, bo nasze sympatye po stronie Serbów!

Krwawa komedya odgrywa się dalej ku wielkiemu zgorszeniu wszystkich uczciwych ludzi. Przypomnijmy sobie zdarzenia.

Moskwa knuje spisek na wyrzucenie Battenberga i zabranie całej Bułgaryi. Battenberg ostrzeżony objeżdża Europę, wraca i wpada do Rumelii, aby ją połączyć z Bułgaryą. Krok co do rzeczy „słuszny“, bo Rumelia jest bułgarską, ale co do formy rewolucyjny. Na wezwanie z Carogrodu Battenberg nie myśli z Rumelii wychodzić, bo czuje za sobą plecy Anglii.

Serbia, widząc że Battenberg wszedł na drogę podboju w imię zasady narodowości, widząc, że Bułgarowie łączą się ze sobą — żąda przyłączenia połowy miliona Serbów do kraju swego. Bułgarowie swoje wziąwszy, cudzego wydać nie myślą — więc wojna.

Tu się pokazuje zdradne a zarazem spodlone postępowanie znikczemniałych w niewoli tureckiej naczelników Bułgaryi. Bici przez liczebnie mniejszy, ale wyżej stojący w cywilizacyi szczep serbski, Bułgarowie całują znowu rękę sułtanowi i proszą go o pomoc. Sultan mówi: poddajcie się i wychódźcie precz z własnej ziemi Rumelii.

Zamiast zgodzić się z Serbami, oddać im, co serbskiego posiadają od Traktatu Berlińskiego, zamiast pokój zawrzeć i razem stawić czoło poganom, Battenberg poniża się do tego stopnia, że wychodzi z Rumelii i przez to kupuje sobie łaskę sułtańską.

Naraz Serbowie mają przed sobą dwóch nieprzyjaciół Bułgaryę i Turcyę.

Wiadomość ta musi złamać ich ducha, bo Serbia nie będzie się biła przeciw dwom razem.

Na całaj linii bojowej serbskiej zwątpienie; — Bułgarowie, wiedzą, że Serbowie ustąpią, bo ustąpić muszą, więc dalej naprzód — zaczynają otrąbiać wielkie zwycięstwa swoje.

Wyszydzani przez Niemców i Moskali, mają naraz za sobą opinię Niemiec, Moskwy i Anglii, nawet Turcyi.

Oto skutki dyplomacyi europejskiej, która sobie zrobiła zabawkę z krwi słowiańskiej nad Dunajem.

Dyplomacya mogła tę walkę powstrzymać; czemuż nie powstrzymała? Na czyją głowę spadnie ta krew niepotrzebnie przelana?

Sprawiedliwość Boga to osądzi.

Tymczasem nie łudźmy się, by z wycofaniem się Serbów z Bułgaryi, które zdaje się być rzeczą nie cofnioną — nastał też i pokój europejski. Daj Boże, żeby się nie sprawdziło stare proroctwo, które mówi, że „z małego kraju“ wielka wyjdzie wojna. Daj Boże, żeby niesz zęścia zapowiadane na rok przyszły nie miały początku swego właśnie w krwawym starciu serbsko-bułgarskiem.

Coraz to zabawniej układają się sprawy w zatargu serbsko-bułgarskim. Książę Battenberg, pocałowawszy sułtana moralnie w rękę, tak zhardział, z taką siłą uderzył na Serbów, że ich nawet wyparł z Carybrodu; a gdy mu Turcya radzi, żeby zawarł pokój lnb zrobił przynajmniej zawieszenie broni, to on odpowiada, że nie prędzej o tem będzie chciał sluchać, aż nie stanie z wojskiem swem na ziemi serbskiej.

Fortuna kołem się toczy, i jeżeli kto, to żołnierz raz pod wozem, raz na wozie bywa. Ztąd nie dziwilibyśmy się wcale, gdyby Serbowie, **zmuszeni przez Turcyę i Moskwę** do opuszczenia Bułgaryi, widzieli Bułgarów depcących im odważnie po piętach.

Nie radzilibyśmy przecież księciu Battenbergowi zaglądać do Serbii, gdyżby mógł nie wyjść z tej łapki... Może stanąć na granicy, może nawet przekłusować parę staj, dla zabawki, ale nic więcej, gdyż Serbowie, którzy musieli ustąpić powadze dyplomacyi europejskiej i woli sułtana, przetrzepaliby Bułgarów lepiej niż dotąd, gdyby stopa bułgarska miała dotknąć ich ziemi.

Wszystko to mniejsza — ciekawość tylko, jak Moskale się wezmą teraz dalej, aby kacapskie wpływy ugruntować w Bułgaryi. „Goniec Wielk.“

Zakład ś. p. hr. St. Skarbka
dla
sierót i starców w Drohowyżu.

Napisał

J. N. z Oleksowa Gniewosz.

III.

W zakładach i szkołach przemysłowych rękodzielniczych, w których jest połączona teorya z praktyką, w zakładach jak drohowyzki, a w kraju jak Galicya, powinno się przedewszystkiem baczyć na to, aby przy zużyciu miejscowych, krajowych materyałów, uczyć przedewszystkiem tych działów przemysłowo rękodzielniczych, które w kraju mogą znaleść zbyt, a pomimo to sprowadzane są z zagranicy. Przez to siły miejscowe mogą znaleść korzystne zatrudnienie, nie mówiąc już o podniesieniu strony moralnej biedniejszych warstw społeczeństwa.

Chcąc przyjść w tym kierunku do korzystnych wyników, należy taki Zakład jak Drohowyż, podzielić poprzednio na dwa od siebie niezależne oddziały:

a) na oddział naukowy, czyli pierwotnej oświaty wychowańców,

b) na oddział praktyczny, czyli fizycznego wykształcenia przemysłowo-rękodzielniczego,

Każdy z tych oddziałów, podzielony znowu być winien według wymogów płci wychowańców.

Na tej podstawie zacznijmy teraz budować rozwój zakładu i jego przyszłość.

Nauka szkolna, obejmująca cztery klasy ludowe, jest a przynajmniej powinna być wystarczająca, jeżeli będzie przeprowadzoną umiejętnie, sumiennie, z zastanowieniem, czyli z zakrojem niezbędnym dla przyszłych przemysłowców rękodzielników.

Na oddziale naukowym, szkolnym, należy wychowańców pozostawiać do roku 15. żywota — jako do czasu, w którym bez szkody zdrowia, można już młodzieńca lub dziewczątko używać do systematycznej nauki przemysłowo rękodzielniczej.

Co się dotyczy nauki szkolnej, można się było przekonać podczas ostatniego egzaminu rb. — że nanka ta jest w wysokim stopniu błędna, gdyż dowiodła tylko, jak pp. nauczyciele sięgają wysoko w działach nauki, a o ile tej nauki uczniowie zrozumieć nie mogą.

Szczytem tego błędnego pojęcia był popis niefortunny z rachunków pamięciowych, za wiele żądający od czwartoklasistów szkół ludowych.

Tak samo uważamy za zupełnie błędne pojęcie uczenia historyi w ten sposób: — aby wychowanica — przyszła służąca, kucharka, gospodyni lub pracująca w przemyśle domowym, miała koniecznie wiedzieć: jakie były stronnictwa polityczne w Polsce po śmierci Jana Sobieskiego, i jakie one wywarły wpływy na przyszłe losy Polski“.

Opierając się chociażby tylko na tych dwóch faktach, mamy za sobą słuszność twierdząc, że plan nauk powinien być bezwarunkowo zmieniony, i tak:

Gdy wychowańcy kończą cztery klasy ludowe zwykle prądzej jak z rokim piętnastym, to dla tych, którzy już ten oddział ukończyli, powinien być do roku 15. stworzony dział dodatkowy, w którym nauka winna obznajamiać szczegółowiej przyszłego przemysłowca rękodzielnika z niezbędnymi przedmiotami. Tu zwrócilibyśmy uwagę na historyę naturalną, ale mało sięgającą po za granice kraju. Tak samo traktowalibyśmy krajoznawstwo (opuszczając wreszcie wiadukty Semeringu vide egzamin) praktyczne, elementarne pojęcie o fizyce i chemii, — znowu zastosowanych tylko do materyałów krajowych i potrzeb.

Naturalnie ćwiczenia rysunkowe, modelowanie w różnych kierunkach, w glinie, drzewie, winne być bardzo umiejętnie traktowane. Trzecia część godzin szkolnych lub przeznaczonych na pracę, powinny już być wziętą w różnych przygotowawczych kierunkach praktycznych, a to w tym celu, aby po piętnastym roku życia, wychowaniec lub wychowanka, nie byli przeznaczani na chybił trafił, lub według własnego widzimisię, do działów rękodzielniczych, ale tylko do tych, w których kierunku widoczne są objawy jakich takich zdolności.

To dotyczy tak wychowania chłopców, jakoteż i dziewcząt.

O ile dotychczasowy kierunek nauki praktycznej rzemiosł, jest szkodliwy dla chłopców i zakładu, o tyle nauki robót kobiecych pod kierunkiem sióstr Felicyanek, są z wielką sumiennością prowadzone, ale niestety — n i e s i ę g a j ą p o z a p r z e z n a s p r o j e k t o w a n y o d d z i a ł p r z y g o t o w a w c z y. I nieszczęśliwe te istoty słabe, które po ukończeniu nauk praktycznych w Drohowyżu, rzucone w szeroki świat, — mają zdobyć dla siebie byt. Gdzie te sieroty się opierają, gdzie one giną, należałoby zebrać wreszcie statystyczne daty od c. k. Policyi. Nie jest to jednak wina ani sióstr Felicyanek ani ich własna, ale tej dotychczasowej blagi wychowawczej, lekkomyślności, i braku zastanowienia tych którzy, do niedawna zakładem rządzili.

Naszkicowaliśmy tylko w pierwotnym konturze, dział dodatkowy nauki do 15 roku żywota wychowańców; szkic ten jednak jest niewystarczający i winien na innem miejscu być obrabianym szczegółowo. Tak samo pozostawiamy reorganizacyę nauki czteroklasowej w Zakładzie, specyalistom fachowym.

Przystępując do poglądu nauk praktycznych, przemysłowo rękodzielniczych, mieliśmy przedewszystkiem to na względzie, aby dotychczasowej organizacyi warstatów, a t y l k o j a k o t a k i c h, zaprowadzonych wielkim kosztem, wraz z machinami parowemi i pomocniczemi, nie naruszać, a wskazać tylko ich właściwe przeznaczenie.

---

wił: — „Tu moja służba, gdy nie mogę już pójść z innymi.

Tak minął rok, gdy macierz znowu wracała, ale już tylko z trzema starszemi dziatkami do modrzewiowego dworu, ale go już nie było, bo jak okiem rzucić, na około świeciły tylko zgliszcza, po moskiewskiej pożodze.

Powitał synowę starzec i zaprowadził wraz z dziatwą do wieśniaczej chaty, gdzie sam znalazł serdeczny przytułek. A gdzież ojciec rodziny, który się winien nią opiekować? Ten ledwo zdołał unieść głowę z pod stryczka moskiewskiego i pójść z innymi do obcych ziem, do obcych krajów, na życie tułacze.

Macierz i dziadek chowali pisklęta, sieroty bez ojca — otaczali je miłością, na jaką stać było, chociaż bywało bardzo często chłodno, głodno i boso.

Mały Maryanek rósł, a kochał nie tylko matkę ale i dziadka całą duszą, który w tej dziecinie widział swoje odrodzenie i szczęśliwsze dni chwały. Maryanek wywijał drewnianą szabelką, a ciągle tylko szczebiotał: — „ja będę żołnierzem“.

Minęło lat sześć, gdy ojciec tułacz powrócił na polską ziemię, ale zdala od zgorzeliska modrzewiowego dworu. A gdy znalazł pierwsze odpowiednie schronisko, zawezwał starca ojca, żonę i dziatwę, aby do niego przybyli. I przybyła macierz z dziatwą. Starzec przysłał tylko swoje błogosławieństwo synowi na dalszą drogę żywota ciernistego, a sam postanowił czekać ostatniej godziny, aby złożyć starą głowę na cmentarzu, gdzie spoczywała towarzyszka życia jego i wielu innych z tego rodu. Maryan pomimo wielkiej tkliwości serca, którą sobie zjednywał miłość u ludzi, był nadzwyczaj żywego usposobienia, lecz wolnego od wszelkiej złośliwości chłopięcej. Widok żołnierza wprawiał go w formalny zapał i podziw. Z początku, nie zwracał nikt na to szczególnej uwagi, gdyż jak to bywa, szczególniej chłopcom małym podoba się mundur i błyszcząca broń. U Maryana było inaczej. Z każdym rokiem marzenia o wojskowości, o wojskowym stanie, przybierały coraz wyraźniejsze kształty. Jedna i ta sama myśl, aby zostać dzielnym żołnierzem, nie opuszczała go już. Z tego powodu trzeba go było nawet strofować. Warunki wewnętrzne były wprawdzie po temu, które się objawiały szczególną odwagą i przytomnością umysłu w tak młodym chłopcu. Przytoczę chociaż jeden wypadek. Licząc lat 11 uczęszczał do szkoły normalnej w Krośnie. Na wiosnę podniosła się woda na Wisłoku i puściła kra. Maryanek niepostrzeżenie dorwawszy się jakiegoś drążka, dalejże na brzeg bystrej wody manewrować płynącemi krami. Ta, na której stał nad brzegiem, odrywa się i bystry prąd wody unosi ją ku środkowi. Nikt tego nie spostrzega, — kra pędzi z niezwykłą szybkością i tłucze się o inne. Malec nie traci przytomności, nie krzyczy, bo nikogo nie widzi, ale drążkiem broni swej podstawy od rozbicia przez inne kry. W taki sposób płynie przeszło pół mili drogi, kra zmalała o połowę, aż nareszcie spostrzegli dzieciaka w niebezpieczeństwie będącego włościanie. Dzieciak usiłuje pokierować krę ku brzegowi, a potem woła o żerdź z płotu, aby mu podano. Za chwilę został uratowany od pewnej zguby, nie straciwszy na chwilę przytomności. Strome skały, góry, nadwątlone mury zamku Odrzykońskiego, bywały celem jego wycieczek, aby tylko znaleść jakikolwiek powód do przezwyciężania przeszkód i niebezpieczeństw.

Uczył się dobrze, czasami tylko przeszkadzały mu figle, ale jeżeli zasłużył na naganę, to tylko za to, że zwykł brać winy innych na siebie, szczególniej jeżeli chodziło o biednego kolegę.

Ukończywszy zaledwie szesnasty rok, a było to podczas wakacyi, pada ojcu do nóg i prosi, aby go oddał do szkoły kadetów we Lwowie. Ojciec sprzeciwia się najusilniej, perswaduje chłopcu, aby czekał aż ukończy szkoły. Maryan błaga dalej i mówi: — „Ojcze kochany nie broń, nie myśl, aby mną powodowała lekkomyślność; nie, przysięgam ci, czynię to z namysłem. Nie będę niczem innem, tylko żołnierzem, a nie wabią mnie do tego błyskotki munduru lub brak chęci do nauki, lecz myśl wyższa, bo ja kiedyś chcę i muszę służyć Ojczyznie“.

Widząc ojciec taką stanowczość, po wyczerpaniu wszelkich argumentów, postanowił pokrzyżować plany Maryana, co mu się też chwilowo udało. Lekarz wojskowy oglądający aspiranta na kadeta, orzekł, że jest za słaby i wstrzymać się musi co najmniej rok.

Chłopiec martwił się, gryzł i mizerniał, a gdy na Nowy Rok winszował ojcu, padł do nóg błagając, aby go oddał do pułku na prostego żołnierza, inaczej nie ręczy co się z nim stanie.

Ojciec rozmówił się ze starym towarzyszem broni, który w pułku Condrecourt był adjutantem, i stanęło na tem, aby Maryan jako ochotnik się zaciągnął; a gdy się przekona, co to znaczy rekru w pułku, niezawodnie wkrótce będzie błagał, aby go uwolnić.

Ojciec dał przyzwolenie, oświadczając jednak,

Ale przedewszystkiem, dajemy jedno zapytanie kuratoryi, co jest lepiej i korzystniej dla zakładu i kraju:

Czy tworzyć w rozmaitych kierunkach przemysłowo-rękodzielniczych, niedouczków, partaczy recte proletaryat przemysłowo-rękodzielniczy, jak się to dotychczas w Drohowyżu praktykuje, — czy też zamienić ten Zakład na macierz, pod której skrzydłami opiekuńczemi wyrastać mogą pojedyńcze, po kilka razem nareszcie działów przemysłowo-rękodzielniczych, które w kraju nie znajdują wielkiego odbyt, do których produkcyj, mamy podostatkiem najtańszego stosunkowo materyału, za bezcen poprostu, a produkcye te niemają w kraju odpowiednich ognisk rozwoju i sprowadzane są z po za granic, przez co ubożymy ten biedny kraj i przyczyniamy się do rozrostu bardzo niebezpiecznego proletaryatu.

Otóż przekonani jesteśmy z góry, że kuratorya fundacyi zgodzi się z nami na ten drugi kierunek. Wobec tej zgody, powinno się odzywać tylko jedno hasło, dążące do korzystnego rozwoju zakładu w Drohowyżu:

Przy zużytkowaniu materyałów surowych, jakie się na obszarach fundacyi znajdują w ziemi i nad ziemią, uczyć wychowańców i wychowanki prawidłowego zużytkowania, takowych przez przemysł rękodziel niczy.

Niestety, te tak przekonywające warunki, tak naturalne, tak proste, pielęgnowane troskliwie w każdym cywilizowanym kraju, u nas nie zwróciły uwagi niczyjej, bo tylko blaga, ślepota i ciasnota umysłowa, trzymają ster w ręku.

Przypatrzmy się chociaż chwilkę tym naszym znakomitościom, lub gwiazdom wschodzącym, wrzekomym ekonomistom, gadającym niestworzone brednie o rozwoju przemysłu.

I tak: Jedna z takich nowych potęg — przejrzawszy to i owo, napisała i wydała książkę, jak podnieść przemysł krajowy? I rzeczywiście, zdobyła się na środek ciekawy: Oto uważając Niemców za najwięcej przemysłowy i praktyczny naród, radzi więc tych Niemców sprowadzić do Galicyi, czynić im jaknajwiększe ustępstwa, nadając prerogatywy, aby tylko fabryki zakładali, których u nich niema. Że tę znakomitość przeoczył dotąd Bismark i nie przysłał jej orderu z czarnym orłem, to się zaiste dziwić należy takiej niebaczności kanclerza..

Natomiast w Galicyi, spotkało już niemało zaszczytów tak moralnych jak realnych, tę świecącą gwiazdę ekonomiczną. Sięgała już nawet po krzesło do Rady państwa — i to w rodzinnem mieście, ale niestety dostała tam tylko jeden głos, i to podobno swój własny. Zapytujemy, czy ci ludzie nie czynią krajowi strasznej krzywdy — czy nieprzyczyniają się do ogólnego upadku?

Oni — ci w wielkim stylu wychowani na ekonomistów, pojmują przemysł kraju tylko pod postacią setek tysięcy dymiących kominów fabrycznych, nie pomnąc o tem, że kto chce tańczyć po linie, musi się wprzód dobrze nauczyć chodzić po ziemi.

I to jest błędne pojęcie, kto twierdzi, że Galicya jest biednym krajem i niema warunków do rozwoju przemysłowego. My temu wprost zaprzeczamy. Galicya niema wprawdzie tych warunków co inne kraje przemysłowe, ale ma na tyle materyału, aby użytkując takowe zreszumiale, mogła się otrząść z biedy i nędzy; a kraj nie potrzebuje nareszcie więcej, i tem się zadowoli.

Na nieszczęście, nasze znakomitości nie chcą tego pojąć, a raczej przyznać się, że im nie chodzi bynajmniej o naród, ale o jednostki, aby te jak to mówią — „przez noc" dochodzić mogły do kroci, do milionów, tak samo jak się chwyta fortunę za nogi na giełdzie, lub w Monaco — mniejsza o to, co się dzieje z rzeszami maluczkich, tego jądra i siły narodu, czy te rzesze giną i marnieją — lub czy dochodzą do najwyższego stopnia zdziczenia.

Inaczej pojmował obowiązki „starszego brata" w narodzie, taki śp. Hrabia Stanisław Skarbek. Lecz cóż się stało z tą jego ideą szlachetną?

Oto przez długie lata wystawiona była na łup i rabunek, oddana w ręce ludzi bez sumienia, bez czci i wiary w Boga.

Darujcie czytelnicy, żeśmy znowu odstąpili od właściwego zakresu, ale cóż czynić, gdy się przez myśl przesuwają te dantejskie obrazy piekła, aby nie ulżyć zbolałemu sercu, i nie rzucić prawdy w oczy, komu przynależy. Nie dziwcie się temu, który całą duszą ukochał tę ziemię Ojców, marzył o jej szczęściu młodzieńcem, a dziś na starość, gdy się włos pokrywa szronem, nie widzi tej lepszej przyszłości, ale tylko czarną, bezdenną otchłań.

Co do Zakładu w Drohowyżu, wyrobiliśmy w sobie to przekonanie, że tam mogą być wielkie przysługi oddane krajowi, jeżeli nauka wejdzie prawie odrazu na drogę produktywy, opierając przemysł rękodzielniczych — li tylko na surowych materyałach krajowych, które są pod ręką, najtańszych, a najmniej na tej drodze dotąd przerabianych.

Nie szukając daleko, oglądamy się za najprzystępniejszym materyałem i wpada nam przed oczy — słoma, rosnąca bujnie obok, na zagonach. A że to pora gorąca, chronimy się pod cieniste drzewo. Aby otrzeć pot z czoła, zdejmujemy z głowy, nowy, piękny słomkowy kapelusz, kupiony za 2 złr. 50 ct., u firmy Tegischera we Lwowie. Mimowoli, przypatrujemy się materyałowi, z jakiej zrobiony. Następnie porównujemy słomę z której zrobiony kapelusz, z tą która rośnie obok na zagonie. Przekonujemy się, że słoma z której kapelusz, nie jest delikatniejsza od naszej. Że zaś ma barwę białą, to rzecz podrzędna, bośmy mieli sposobność przypatrzeć się i nauczyć, jak to bielenie każdej słomy jest łatwe, i niepotrzeba być nawet uczonym chemikiem, aby się tego nauczyć.

Niedaleko od miejsca, gdzie się schroniłem przed upałem, siedziała pastuszka na ugorze, dzieweczka licząca zaledwie 14 lat, i coś robiła pilnie, przyśpiewując sobie wesoło. Zbliżam się do niej i widzę, że robi plecionkę słomianą, której już ma spory krążek biorę do ręki, a to plecionka w ząbki, takie same jak na moim kapeluszu, kupionym u Tegischera, a sprowadzonymi z Czech — brakło tej plecionce tylko białości — nic więcej.

Zacząłem się potem bliżej zastanawiać nad tą plecionką, uprzytomniając sobie, jakie to masy sprowadzają nasi kupcy rok rocznie na wiosnę wszelkiego rodzaju i kształtów kapeluszy dla mężczyzn i kobiet ze słomy zwykłej jak nasza, z sitowia, szuwaru, z mietlicy delikatnej, lub innych traw, a za te towary wychodzą rok rocznie nie tysiące ale krocie. A że produkcye te ulegają szybkiemu zniszczeniu, mają więc byt ustalony.

Dla czegoż jesteśmy tak nieporadni, bo przecież nie niedołężni, i nie wyrabiamy kapeluszy słomkowych nie już na wywóz, ale na własną potrzeb, jeżeli nawet taka samouczka-pastuszka, wykonywa tak piękne plecionki ząbkowane?

Jakżeby łatwo przyszło i przy niewielkich wkładach, zorganizować, na nizinach, gdzie tylko najwięcej słomy, szuwarów, sitowia, takie zbiorowe ognisko wyrobów słomkowych. Setki, tysiące rąk miałyby zatrudnienie.

Jakąż zasługę oddałby Zakład drohowyzki, gdyby w tym kierunku wyuczył, wykształcił jedno i drugie pokolenie dziewcząt, a coby się łatwo dało uskutecznić, zgromadził je w jakim przystępnym punkcie, chociażby w Mikołajowie, gdzieby się działy pojedyńcze wyborów słomkowych ześrodkowały? Kładziemy na takie ześrodkowanie nacisk, bo wychowanice, rozrzucone, rozpuszczone na Opatrzność tylko Boską, oddane własnemu przemysłowi, muszą zmarnieć i zapomnieć, czego się nauczyły. W Mikołajowie zorganizowana fabryka, a tanim kosztem, stałaby się w krótkim czasie głównym punktem wyrobów słomkowych. Niejeden zagon lub mórg ziemi obrócony pod produkcyę słomy, przyniósłby rolnikowi pożądany większy grosz jak dotąd. Komunikacya kolejowa ułatwiłaby przyjazd kupców i wywóz gotowych towarów na wszystkie strony. Byłaby to już pierwsza oaza, którą stworzył Zakład w Drohowyżu dla sierot.

Jakie znaczenie mają wyroby słomkowe w świecie przemysłowo-handlowym, przytoczymy ciekawy opis tego przemysłu w Szwajcaryi, w kantonie Argowii.

Artykuł ten przetłumaczyliśmy z gazety wychodzącej w Zurychu, podczas wystawy przed dwoma laty, a który zamieszczony był w Nrze 23. *Strażnicy polskiej z r. 1883.*

„Przemysł słomiany w kantonie aargauskim".

„Sztuka wyrobów ze słomy i z nią pokrewnych włókien roślinnych itp. jest bardzo starą; sięga do dzieciństwa wieków rodzaju ludzkiego.

Era jednak przemysłu słomianego liczy się dopiero od czasu, gdy wyroby te przestały być specyalnością pobocznego zatrudnienia domowego, a zastosowane zostały jako odrębna gałęź przemysłowa.

Wiadomo jest, że prawie każdy kraj bawił się i bawi tymi wyrobami, a mianowicie służącymi do pokrycia głowy. Lekkość i taniość materyału, szczególniej do użytku w lecie, wskazują same praktyczność, a różnią się tylko kształtem, który jest wynikiem wyobraźni. Już przed wielu wiekami pleciono kapelusze, a uważając takowe jako wierzchnie pokrycie, nadano im w Chinach kształt dachu domowego, który się i dotąd tam po części utrzymał. W Peru i Meksyku kapelusze słomiane „Sombrero" z szerokiemi krysami, chronią noszącego od promieni słonecznych i zatrzymały odwieczną swą formę. Każdy naród nadawał i zachował odpowiedni kształt.

Z rozwojem cywilizacyi zaczął człowiek myśleć, jakby materyał słomiany i włókien pokrewnych, wprowadzić na szeroką drogę przemysłu i handlu, to też nie dziw, że gdy jeszcze w przeszłym wieku każda wioska miała swego nadwornego kapeluszniką, pro-

---

że niech nie liczy na większy dodatek z domu, jak 15 centów dziennie. Maryan zmuszony był w koszarach jak najcięższą służbę pełnić i to w zimie.

Po miesiącu, wolno mu było po raz pierwszy zajrzeć do domu. Przyszedł blady, zmizerowany, że aż się rodzicom serce krajało; — ale byli przekonani, iż używszy już dosyć smaku żołnierskiego, będzie prosił, aby go uwolniono jako słabego.

Omylono się jednak. Maryan przyznawszy, iż przebywa bardzo ciężką szkołę życia, orzekł że chcąc być żołnierzem, był na to wszystko przygotowanym — i wytrwa. Po takiem orzeczeniu cóż pozostało rodzicom, jak zgodzić się na tak silne postanowienie, i starać się tylko o to, aby mu coskolwiek ulżyć, polepszyć byt materyalny.

Tak praktykował młodzieniaszek żołnierki tej aż do letnich manewrów, po których ubrawszy się po formie w mundur, poszedł sam do szkoły kadetów i złożył egzamin, zapisawszy się do tego samego pułku w którym służył.

Przebył dwuletni kurs, sprawując się tak samo wzorowo jak w pułku, lubiany przez kolegów i przełożonych. W tym czasie została zniesiona szkoła kadetów we Lwowie. Maryan prosi, aby się mógł przenieść do szkoły kawaleryi w Weisskirchen. Przeniesienie takie było jednak połączone z wielkiemi kosztami i nad stan rodziców, ale czegoż ci nie robią dla miłości dziecka. W Weisskirchen, jak wiadomo, jest najwięcej młodzieży synów dygnitarzy, najczęściej bogatych. Maryan nie zapatrywał się na nich i kontentował się małą pensyjką kilkunastu reńskich, które pobierał z domu. Uczył się znowu i sprawował wzorowo, a poczuwając się słabym w języku niemieckim, pracował do późna w nocy, aż przełożeni byli zmuszeni mu tego czuwania zabraniać. W wydatkach swoich był oszczędny, liczył się z każdym centem, nic sobie z tego nie robiąc, że się nie może równać z paniczami. Wyrósł, a formy ciała tak się wykształciły, iż mimowoli zwracał na siebie uwagę. A nie raz, mianowicie gdy przybył do Lwowa na urlop i usłyszał wymówione pochlebstwo przechodniów, rumienił się jak panienka, oddalając się szybko. Pomimo, że się wyrabiała w nim w całem tego słowa znaczeniu postać męzka, którą krasiła żywość oka, był zawsze wolny od wszelkiej buty i arogancyi żołnierskiej, która razi lub staje się śmieszną. W obejściu uprzejmy, łagodny, z szczególnem poszanowaniem dla starszych bez względu na stan, bogobojny jak w pierwszych latach dzieciństwa.

Te przymioty jednały mu serca wszystkich, którzy go poznawali. Przed czterema laty doznał on pierwszego strasznego ciosu — stracił matkę. Gdy przybył, zastał Ją już w trumnie; boleść jego była wielka, taka, że go ledwo zdołano oderwać od trupa rodzicielki. W następnych dwóch latach przyjeżdżał znowu na urlop, ale widoczne tak tęsknił za ogniskiem domowem, że całemi dniami nie wydalał się z domu, niemogąc się tą roskoszą nacieszyć, będąc razem z ojcem, bratem, a szczególniej siostrą, do której pałał wielkiem przywiązaniem. W domu na urlopie, nie był to żołnierz „pan kadet", ale ten ukochany Maryanek rodziny, który sobie przypominał ubiegłe chwile, gdy jeszcze matka żyła.

Przed dwoma laty ukończył zaszczytnie szkołę kawaleryi w Weisskirchen; złożył egzamin oficerski i wstąpił do 13. pułku ułanów (hr. Trani). Po roku był przekonany, że zostanie zastępcą porucznika (Stellvertreter). Awans ten minął go jednakowoż. Przybył znowu na urlop, ale już nie taki wesoły; wkrótce jednak wyperswadowano mu, aby sobie z tego nic nie robił, bo czy tak czy siak, za rok zostanie porucznikiem, co go nie minie, gdyż mu się to należy według następstwa awansu. Jedyne zaś, co by mu mogło przeszkodzić, to złe, niehonorowe sprawowanie się w pułku, a na to sobie przecie nie zasłużył. I tak rzeczywiście było, bo Maryan z Oleksowa Gniewosz nie splamił się niczem, a na honorze jego nie było najmniejszej skazy. Był żołnierzem duszą i ciałem. Jeżeli zaś czem błądził, to zbytnią skromnością i za wysoko posuniętą uczciwą ambicyą, która jednak nie toruje drogi biednym, usiłującym iść w górę. Któż mógł przewidzieć, że ten młodzieniec, który żołnierstwo pojmuje jako ideał swej przyszłości, nie długo targnie się na własny żywot i pogrąży w bezdenną boleść znękanego dopustami Bożemi ojca i kochającego go rodzeństwo.

Dla wyraźniejszej charakterystyki tego młodzieńca, niech posłuży następujący fakt, z czasów pobytu jego w Weisskirchen.

Porucznik instruktor jazdy tego plutonu, do którego śp. Maryan był przydzielony, upatrzywszy sobie coś do niego, tak prześladował i dokuczał mu, że potrzeba było prawdziwie silnej woli, aby te wszystkie prześladowania znieść. Doszło zaś tak daleko, że koledzy śp. Maryana radzili mu jedno z dwojga, albo uskarzyć się przed pułkownikiem i prosić o przeniesienie do innego oddziału, lub też oświadczyć, że występuje ze szkoły i idzie do pułku.

Maryan nie namyślając się długo, oświadczył,

dukującego plecionki słomiane, dziś rzeczy się zmieniły, bo plecionki te udoskonalone w zbiorowych ogniskach pracy, przemieniają formalnie dawniejsze nędzą świecące ustronia i bezpłodne skały w przybytki dobrobytu i umoralnienia. Najpierwsza zasługa należy się w tym względzie środkowym Włochom, mianowicie gęsto zaludnionej Toskanii z dziś jeszcze nader ważnymi pod tym względem miastami Florencyi i Prato. W okolicy tej uprawia się na ten cel właściwe gatunki słomy, mające własność szczególnej giętkości i białości; — przyczynia się do tego wielce klimat, dlategoteż okolica ta nie obawia się nadzwyczajnego współzawodnictwa z innemi krajami.

Włoski przemysł słomiany rozgałęził się później do ościennych prowincyj Reggio i Modeny, obierając za punkt centralny Carpi, gdzie oprócz plecionek słomianych, rozwinięta jest produkcya z włókien kory drzewnej. Tak samo usadowił się ten przemysł w weneckańskiem, jak Vicencyi, Marostico, Basano i t. d., chociaż w okolicach tych gorsza słoma się produkuje i nie można z niej wyrabiać takich kapeluszy jak we Florencyi, z których jedna sztuka dochodzi wartości do kilkuset franków.

Prawie równocześnie, albo cokolwiek później, rozwinął się przemysł wyrobów słomkowych w Anglii w Middle-Essex, w Londynie i Bedfordsshire; dalej w Belgii, w Chenegau i Liege, którato okolica dostarcza nader cienkiej i białej słomy. Belgijskie wyroby słomiane spotkać można we wszystkich znaczniejszych miastach Europy środkowej. Przy końcu zeszłego stulecia zaczyna się rozwijać ten przemysł w badeńskiem w Czarnolesie (Schwarzwald), w Saksonii i Czechach północnych. Dresno stanowiło główne ognisko ruchu handlowego tego przemysłu, bo najgłówniejsze firmy Paryża, Londynu, Brukseli, Wiednia i Florencyi, mają tam swych przedstawicieli. Dotąd gałęź ta wytwarza tamże najkorzystniejsze źródła narodowego bytu.

W niektórych z tych krajów, szczególniej jednak we Włoszech i Anglii, praca ta zmieniła się w przemysł t. z. wielki, fabryczny. Oto jest przegląd krótki tego działu, jak się stopniuje i rozwija w Europie.

Zdawać by się mogło, że w obec takich warunków dalsza pokusa do tworzenia ognisk wyrobów słomkowych nie może przedstawiać korzyści, a dla śmiałków mogłaby się stać niebezpieczną.

Tak jednak nie jest. — Przypatrzmy się najmłodszej grupie tej gałęzi przemysłu w Szwajcaryi, która się tu rozpada na trzy okręgi, względnie do rodzaju wyrobów odmiennych. Na południu mamy okręg pokrewny z weneckim w kantonie Tesino, szczególniej w miejscowości Valle onsernone. Jest on najmniejszym. W drugiej linii wyroby te pod względem ilościowym i jakościowym obejmują kanton Fryburski. W Gruyere z miasteczkiem Bulle, w którego okolicy uprawia się słoma, podobna do Toskańskiej, śliniącej białości; — usiłowania uprawy tejże słomy w Argowii nie dały dotąd dobrych wyników.

W dwóch wyżej wymienionych kantonach, ograniczała się produkcya wyłącznie na plecionkach ręcznych z czystej słomy bez wszelkiej domieszki i głównie na wyroby białe blichowane.

Produkcya ta stanowi odrębny typ wyrobów, a może najdonioślejszej grupy w Argowii, w gminie Wohlen. W niezbyt odległych czasach, bo z końcem zeszłego wieku, gmina Wohlen była nędzną wioszczyną, a od najdawniejszych czasów wiedli mieszkańcy żywot ciężki, mając podwójne obowiązki wielkich opłat czynszowych z jednej strony do kościoła w Muri, a z drugiej feudalnej szlachcie, która zamieszkiwała okolicę. Kultura i produkcya ziemna znajdowała się w opłakanym stanie — dobijała zaś dobrobytu epidemia wędrówek i oddawania się w zagraniczną służbę dla grosza, przez co ogołocona była okolica od sił roboczych. Nie mówimy już o „Landfoktach“, czyli burgrabiach, którzy wysysali aż do szpiku, co się tylko dało z ludności wydrzeć. Nie dziw też, że mała ta wioszczyna, którą tworzyła pewna ilość walących się i omszonych chat, a których dachy sięgały ziemi, przedstawiała obraz ostatecznego upadku. Kilka takich chat przechowano jeszcze po dziś dzień, które stojąc w pobliżu pałacyków i wil pięknych, dają pojęcie, o ile silna wola szturmem nieprzezwyciężonym wypiera ubóstwo, a sprowadza lepszą dolę dla ludzi.

Któż to sprawił?

Otóż przy końcu 1780 roku opuścił ciężko doświadczony przez los obywatel rodzinną chatę, zabrawszy żonę i dziecko, aby po drugiej stronie Renu poszukać lepszego bytu. Udał się w badeńskie do Czarnego lasu (Szwarzwald) i tam spostrzegł, że wyroby słomkowe o wiele pilniej i umiejętniej są prowadzone, aniżeli w jego rodzinnem miejscu, gdzie już miały początek. Nauczywszy się czego potrzeba, powrócił do Wohlen i zaczął skupywać plecionki, wykonywane podług jego wskazówek i takowe wywoził w badeńskie, gdzie korzystnie spieniężał. Oględnością wytworzył w ten sposób regularny wywóz do Czarnolasu, gdzie prowadził handel zamienny. Przykład ten dodał ochoty biedanym mieszkańcom Wohlen i pobudził ich do coraz większego postępu w produkcyi. W dalszem następstwie plecionki szwajcarskie zaczęły zdobywać obywatelstwo na targach w Saksonii i Czechach, a drogę tę torował ten sam pierwszy wskrzesiciel, Jakób Isler, którego imię zapisane jest po dziś dzień pomiędzy dobrze zasłużonymi obywatelami Rzeczypospolitej Szwajcarskiej. Przemysł wyrobów słomkowych nie ograniczył się jednak na gminie Wohlen, ale rozsiadł się po okolicy i nawet w sąsiednich kantonach. W czasie tym znaleźli się i inni przezorni obywatele, którzy nie patrzyli z założonemi rękami. Rzucili okiem i zbadali warunki innych krajów, torując nowe drogi do zbytu. Występują w charakterze hurtowników. Oni to położyli fundamenta nie już do dobrobytu, ale do bogactw, które posiadają ich znakomite dziś rody i firmy. Po dziś dzień stoją te same nazwiska na czele szlachetnych pionierów, którzy są chlubą ich wolnej ojczyzny.

W taki sposób rozwijał się ruchliwy żywot w gminie, bo przewodniczyła mu silna wola i bez tchu spełniane obowiązki obywatelskie. Starsi synowie rzucili się po różnych krajach na najgłówniejsze targi zbytu jako pośrednicy. Młodzi odesłani zostali do szkół handlowych; a ze zdobytą nauką i doświadczeniem rosły dobrobyt i duch przedsiębiorczy.

Tak się tam przedstawia ta gałęź przemysłu w pierwszym dziesiątku bieżącego stulecia; — równolegle z tym rozwojem rośnie i liczba mieszkańców w gminie Wohlen, i tak podług spisu w roku 1654 liczyła wioska zaledwie 500 mieszkańców. W drugiej połowie zeszłego wieku 1000. W roku 1800 pomnaża się na 1400. W 1810 roku 1600. W 1820 roku 1900. W 1850 roku 2400. W 1870 roku 2800 mieszkańców i t. d.

Wyraźniejszy obraz daje nam rzut oka na znaczenie przemysłowe tej miejscowości, środki ruchu czyli komunikacyjne.

Jeszcze dotąd żyją starzy ludzie w Wohlen, którzy pamiętają, że posłaniec pieszy z tak zwaną torbą — „Räf“ — spełniał raz tygodniowo służbę pocztową pomiędzy Lenzburgiem a Wohlen. Był to jedyny węzeł regularny z resztą świata. Około roku 1820 utrzymywano w Wohlen jedyną gazetę w dwóch egzemplarzach, wychodzącą w Zurychu pod tytułem „Freitags- oder Bürkel-Zeitung“. — W czasie tym dopiero przy końcu 1820 roku pojawił się wózek jednokonny pocztowy w Wohlen, który to widok sprawił niezwykłą sensecyę, bo stanowił nieomal erę w gminie.

Od czasów, gdy związek szwajcarski zmonopolizował procedurę pocztową, awansowało Wohlen do najwybitniejszych miejscowości w kantonie i około roku 1860 służba „Eilwagenów“ była nader ożywioną. Od roku 1874 korzysta gmina z dobrodziejstw drogi żelaznej, która uważaną jest jako główna linia dowozowa kolei Gotharda, umożebniając łączność w czterech kierunkach.

Jako dalsze dowody szybkiego wzrostu gminy Wohlen niech posłużą następujące zapiski statystyczne.

Oto miesięczne zużytkowanie znaczków pocztowych podnosi się do 5000 franków, a więc rocznie 60.000. Ilość listów ostęplowanych przedstawia się rocznie w objętości czyli wadze 25 metrycznych cetnarów. Rocznie prenumerują mieszkańcy 150.000 numerów gazet i innych pism drukowanych, z których wypada na jedną głowę przeciętnie 50 numerów.

Szczególną ozdobę gminy przedstawiają piękne budowle, jakoto: eleganckie domy mieszkalne w stylu Villegiatur, otoczonych najwytworniejszymi ogrodami. Imponującym prawdziwie gmachem jest nowa szkoła, która wysokością dachu panuje nad wszelkiemi innemi budowlami, a zbudowana na wzgórzu, przedstawia jakby warownię i ochronę dla wolnego postępowego ducha gminy, z którego takowa może rzeczywiście być dumną.

Gdy dawniej nie słyszano we wsi innego narzecza, jak najstarożytniejszy, że tak powiemy żargon miejscowy szwajcarsko-niemiecki, którego już często w sąsiednich kantonach nie rozumiano, obecnie, szczególnie w czasie, gdy przybywają do Wohlen kupcy nie tylko z innych krajów, ale i z za oceanu, rozmawiają się z nimi mieszkańcy w językach: francuskim, angielskim, hiszpańskim i włoskim, gdyż największa część przemysłowców są to ludzie, którzy wiele podróżowali, a jeszcze się więcej nauczyli.

Za przykładem Wohlen podniosły się w dobrobycie i cywilizacyi sąsiednie gminy i okolice, gdzie również wyroby słomkowe postępują naprzód. W Muri, Reussthal, Baderbiet, Frickthal nie tylko, że się ten przemysł szerzy, ale dzieli się na grupy specyalne wyrobów pewnych jemu tylko właściwych artykułów.

Gdy zbyt powiększa się z każdym rokiem, znajdując najróżnorodniejsze zastósowanie, zarekrutowano i sąsiedni kanton Lucern tak silnie, że zacząwszy od okręgu Argauskiego Reinfelden, aż do najwięcej oddalonych gmin górskich, tak nazwanych Entlebuch,

---

że wniesienie skargi na oficera uważa wprost za niegodne kadeta szkoły i że decyduje się pójść raczej do pułku.

Udał się do pułkownika, dyrektora szkoły i oświadczył swe postanowienie.

Pułkownik zdziwiony, pytał i nalegał o przyczynę, Maryan jednak uparnie milczał, powtarzając tylko, że musi się przenieść do pułku. Zdziwiło to szlachetnego Madziara, zażądał, aby się Maryan namyślił, a po 8 dniach stanął znowu przed nim.

Gdy ten czas upłynął, staje on znowu przed pułkownikiem i powtarza swoją prośbę, przeniesienia go do pułku. Pomimo coraz silniejszych nalegań o przyczynę, milczy.

Pułkownik znowu odracza decyzyę na dni 8, ale dokłada starań, aby się ubocznie dowiedzieć o powodach. Przy najbliższym raporcie dziennym dowiadują się kadeci, że porucznik prześladujący Maryana, przeniesiony został do innego oddziału, a nowy następca jego przekonuje się, że Maryan niejest niedołęgą w jeździe i daje jak najlepsze świadectwo na zapytanie pułkownika.

Po ośmiu dniach stawa Maryan znowu przed pułkownikiem, a ten go wprost zapytuje czy jeszcze trwa w zamyśle opuszczenia szkoły. Kadet odpowiada, że już nie i na tem się cała awantura skończyła, a postępek, Maryana zyskał powszechne uznanie nie tylko u kolegów, ale szczególniej u przełożonych.

Po dwóch latach służby w pułku, nadszedł awans tak zwany listopadowy, wobec którego Maryan nie mógł nawet przypuszczać, aby nie uzyskał słusznie mu się należącego stopnia oficera; chociaż by tylko z numeru porządkowego następstwa. Do przepisów awansu należy i to, że wybrana komisya kwalifikacyjna w pułku, w której trzech starszych oficerów zasiada, ma orzekać o kwalifikacyi kadeta, ale głównie tylko pod względem zachowania się tegoż.

Przeciwko kadetowi Maryanowi z Oleksowa Gniewoszowi, nie można było nic orzec, coby uwłaczało jego honorowi, jako mającego być awansowanym na oficera. Być może, że awansowi temu stały na przeszkodzie inne przyrzyny. Dosyć, że komisya ta wydała następujące orzeczenie:

„Schwerfällig im Denken, ohne echten militärischen Geist, und militärischer Schneidigkeit“.

I orzeczenie to wystarczyło, aby Maryan z Oleksowa Gniewosz, syn Jana Nepomucena, pominiętym został w awansie.

Ojciec i rodzina dowiedziawszy się o tem, czynili wszystko, wiedząc jak to na nieszczęśliwym młodzieńcu oddziała, aby zniósł to pominięcie z rezygnacyą, radząc przeniesienie się do innego pułku, lub przeniesienie do rezerwy i obranie innego zawodu życia, gdyż łatwo można przewidzieć, opierając się na licznych doświadczeniach, że nie tak łatwo przezwyciężyć uprzedzeń, które później stać się mogą dla młodzieńca prawdziwą zgubą.

Maryan odpowiedział na te przedstawienia:

„Jeszcze raz powtarzam, że wstępując do wojska nie szukałem chleba, a tem mniej wabiły mię błyskotki munduru ułańskiego; powodowała mię idea wyższa, którą wyssałem z piersi matki mojej. Nie wystąpię z wojska, gdybym miał nawet zostać tylko „prostą szarzą“ (t. j. wachmistrzem kadetem).

Gdy zaś Maryan to pisał będąc już właśnie pełnoletnim, trudno się było jego tak silnej woli sprzeciwiać, tem więcej, że należało uwzględnić siedem lat straconych, a przecież oficerem musiał by zostać prędzej czy później.

Nieszczęśliwy młodzieniec zanadto liczył na swą silną wolę i rezygnacyę. Bo gdy mu miano dać poznać, że nie tak prędko zostanie oficerem, a bodaj czy kiedykolwiek, i z każdym dniem dawały mu się uczuć coraz wyraźniej następstwa; gdy rozważył swoje położenie, iż ojciec tylko przy największych wysileniach będzie mu mógł przychodzić z pomocą materyalną, która jest niezbędna, jeżeli jako kadetowi, bez naruszenia swej wrzekomej godności i honoru wolno tylko żyć w towarzystwie oficerów, z nimi wspólnie jadać i ponosić wszelkie nadzwyczajne wydatki, chociaż jako kadet otrzymuje tylko kwaterę i szesnaście złr. na miesiąc.

Nieszczęśliwy młodzieniec dopiero teraz przewidział, gdzie go zawiódł ideał żołnierza przyszłości. Zagrała żywo ambicya szlachetna. Już na dziesięć dni przed śmiercią, oprócz służby, usunął się zupełnie od kolegów, nie opuszczając prawie swojej samotnej kwatery. Głuchy już był na prośby ojca i rodziny, aby przyjechał na urlop; odpowiadał lakonicznie, że teraz nie może, a gdy ambicya szlachetna przejęła go na wskroś — nieszczęśliwy młodzieniec, samotny, targnął się na własne życie.

A targnął się wtenczas, gdy mu odmówiono poczytalności i usiłowano zrobić z niego idyotę.

Czy zasłużył na ten smutny wyrok moralny, odwołuję się jako ojciec do tych wszystkich którzy go znali, odwołuję się do jego kolegów

tysiące rąk zatrudnionych jest tym przemysłem, wzmagającym się nieustannie.

Ważnym bodźcem do miejscowego rozwoju Wohlen, były szkoły pozakładane wyłącznie dla plecionek słomianych i włókien roślinnych. Szkół tych szczególniej w gminach kantonu Lucerny, Lindenbergu, Hitzkircherthal, Entlebuch i Willisau było mnóstwo. Zakłady te były pod kierownictwem z własnej dobrej woli obywateli pojedynczych w każdej gminie prowadzone, a przez urzęda gminne najusilniej popierane. W tych szkołach młodzież obok zwykłej nauki szkolnej obznajamiana była przez dzielnych praktycznych pracowników fachowych, w wyrabianiu plecionek i tkactwa.

Nie jedna biedna dziewczyna zdobyła tam środki nietylko dla utrzymania siebie i rodziny, ale robiła oszczędności, które przy zamążpójściu umożebniały bogatą wyprawę. Szkoły te utrzymywane są wszystkie przez firmy handlowe w Wohlen bezpłatnie, a z ich założeniem i połączeniem z zakładami naukowemi, wprowadzano również w życie robotnicze kasy oszczędności.

Na teraz podajemy powyższe tylko szczegóły, a nie omieszkamy do nich powrócić, gdy zbierzemy dalsze materyały i wskazówki. Przedmiotowi temu przypisujemy wielkie znaczenie, wobec usiłowań podniesienia przemysłu domowego w Galicyi. Ośmielamy się też zwrócić uwagę odnośnej komisyi i ankiet w Wydziale krajowym, aby zawczasu obmyślano środki, a przedewszystkiem wynaleziono jaką techniczną osobistość, którаby mogła być wysłaną na wystawę szwajcarską i tam gruntownie zbadała na miejscu, czyby ta gałęź przemysłu wyrobów słomkowych nie dała się i do nas przenieść, gdy tak samo jak w innych krajach elementarne warunki mają podstawę bytu?“ —

I cóż powiecie szanowni czytelnicy, wystawa ta była jedyna dotąd w Europie, pod względem przemysłu krajowego. A była dlatego nader ważną, że była tylko krajową, a że Szwajcarya ma najwyborniejsze komunikacye, to ten, któremu na tem zależało, gdy mu jaka produkcya szczególniej się podobała, mógł ją poznać i badać na miejscu, w jej głównem ognisku.

Czy może komisye krajowe, ankiety przemysłowe, wysłały jakich rzeczoznawców na tę wystawę, o tem nam nie wiadomo. A przecież należało to uczynić, jeżeli się tak wiele rozprawia o podniesieniu przemysłu domowego.

Tak samo fundacya skarbkowska nie poczuwała się do tego prostego obowiązku, a to zapewne z tej przyczyny, że pp. Starkel & Łazowski przygotowywali się na wystawę kijowską, aby Moskwę zadziwić swymi wyrobami.

Gdyby chociaż cząstkę przeznaczono z tych w błoto wyrzuconych pieniędzy — i chociaż p. Łazowski, pojechał do Zurychu — możeby mu się było rozświeciło w głowie, w jakim kierunku należy kształcić sieroty w Drohowyżu.

Kończąc ten dział, zwracamy uwagę Kuratoryi, że nauka wyrobów słomkowych stanie dla zakładu na daleko pewniejszych warunkach produktywnych, aniżeli partactwo kosztowne powozów, ze szkodą krajowych rzemieślników.

Przy jakiem takiem dobrem i pilnem prowadzeniu, stosunkowo małe nader koszta nakładowe, zwracać się będą z lichwą i ulżyć muszą budżetowi rocznemu fundacyi. A tem łatwiej możnaby urządzić fabrykę do bielenia słomy, szycia i apretury kapeluszy, że wszelkie przyrządy mogą być wykonane w warstatach miejscowych.

Podawszy na próbkę jeden dział przemysłu domowego, poszukajmy teraz drugiego. (C. d. n.)

Ruina Galicyi.

W r. 1880, kiedy szacunek dochodu gruntowego dla regulacyi podatku był na ukończeniu, podał śp. Krzeczunowicz w *Gaz. Nar.* Nr. 139 pod dniem 19. czerwca 1880 artykuł, któremu dał napis „Ruina Galicyi“ i powiada w tym artykule tak: „Dzisiejszy podatek gruntowy w Galicyi jest nader dotkliwy, jest po prostu plagą dla właścicieli gruntów i niepomału przyczynia się do zadłużenia, a nakoniec ruiny właścicieli. Nagłe podwyższenie go o blisko połowę musi sprowadzić przewrot w stosunkach majątkowych; musi zdepreciować grunta galicyjskie, które i tak już w porównaniu z innymi krajami mają wartość niewielką; musi sprowadzić materyalną ruinę najrządniejszago nieraz gospodarza, zwłaszcza gdy zważymy, że podwyższenie w licznych wypadkach wynosić będzie nawet 100%; musi sprowadzić wywłaszczenie wielu właścicieli gruntów, a skarb państwa pomijając już wszystkie inne skutki tej rewolucyi na polu ekonomicznem — nie będzie ztąd miał korzyści żadnej“. A że to było podczas sejmu, więc zakończył swój artykuł tak: „Pragnę tylko zwrócić uwagę na grożące niebezpieczeństwo i zawołać na zebrany właśnie we Lwowie sejm; „Caveant consules!“

Ponieważ śp. Krzeczunowicz w swoim artykule przypuszczał, że dawny podatek gruntowy, będzie blisko o połowę podwyższonym, więc i piszący ośmielił się w kilka dni później, bo 26. czerwca 1880 podać na tem miejscu artykuł, gdzie na podstawie odmiennej rachuby jest powiedziano, że z powodu naszej niewiadomości podatek gruntowy w Galicyi będzie podwojonym, i że po wymiarze i rozłożeniu podatku na podstawie naszej regulacyi, wyrządzi się największą krzywdę właścicielom mniejszych posiadłości, ponieważ ci mają w swojem posiadaniu kultur ekonomicznych 7,749.721 morgów, a dowozy 3,613.346 morgów. O tem podwojeniu naszego dawnego podatku gruntowego z r. 1880, podałem w *Gaz. Nar.*, *Dzien. Pol.* i innych w r. 1881 i 1882 kilkadziesiąt artykułów. Przy końcu r. 1882 sprawdziło się moje obrachowanie, albowiem okazało się, że dawny z r. 1880 podatek 4,613.346 złr. podwyższony został na 9,264.340 złr. W tym celu ułożyłem „Zestawienie dawnego i nowego podatku gruntowego“.

Wymiar i rozłożenie podatku są to pierwsze dwie części procederu podatkowego, o których na teraz mowy być niemoże, ani żadna deliberacya miejsca niema, albowiem jest to faktem dokonanym, ustawami sankcyonowane i cała sprawa należy już do historyi. Z całego więc procederu podatkowego pozostała jeszcze ostatnia część, tj. uiszczenie podatku gruntowego.

Kiedy przy końcu r. 1880. Wys. c. k. rząd powziął to przekonanie, że nasza dawna powinność podatku gruntowego z r. 1880 zostanie podwojoną, sam się takim wynikiem zaambarasował i w tym celu wydaną została ustawa z dnia 7. czerwca 1881 r. Nr. 49 Dpp., która na str. 172. art. IV. ustęp 1 i 2 postanawia, ażeby nowy podatek gruntowy sposobem stopniowanym od dawnego do nowego podatku bywał uiszczany*)

Ruina Galicyi byłaby się może z powodu podwojenia podatku kiedy sprawdziła, ale dzisiejszy zupełny upadek ekonomiczny w kraju byłby jeszcze z pewnością nie nastąpił, gdybyśmy byli z uiszczeniem się podatku gruntowego w myśl rzeczonej ustawy z 7 czerwca 1881 Nr. 49 Dpp. prawidłowo postąpili. Na 273. posiedzeniu Izby poselskiej z dnia 2 marca 1883 interpretował JE. p. minister skarbu powyższą ustawę w swojej mowie, bo powiedział *„iż rządowi dobrze wiadomo, że w pierwszych 10. latach z powodu stopniowania podatek gruntowy w całości nie będzie spłacony, że uznaje konieczność stopniowego przejścia od dawnego do nowego podatku dla tych, którzy doznali w nim podwyższenia.“*

Rolnicy nasi nie umieją sobie rzeczonej ustawy interpretować, a tem mniej sposobu stopniować się mającego podatku gruntowego wynaleźć, dlatego płacą tę należytość podatku gruntowego, która im jest w nakazach płatniczych wyszczególnioną. W broszurce p. t. „Przestroga“ wskazałem sposób i formułki do obrachowania tego stopniowego przejścia, a w dzienniku autonom. *Gmina* Nr. 7. z r. 1884 zrobiłem komu na tem zależało tę uwagę, że należytość podatku gruntowego powinna być uiszczona, nie według nakazu płatniczego, tylko sposobem stopniowanym w myśl powyższej ustawy, ponieważ nakazy płatnicze na to tylko zostały nam rozdane, ażeby podług takowych w porównaniu do dawnego podatku grunt. mógł sobie każdy swoją nową stopniować się mającą powinność podatkową obrachować. Ale to widać na nic się nie zdało, bo nasi rolnicy płacą od r. 1881 do dziś dnia to, co w nakazach płatniczych jest wykazane, czyli to, co dopiero w 10. roku stopniowego przejścia tj. w r. 1892 zapłacićby mieli. Dziś słyszymy jednogłośne narzekanie na zupełny nasz upadek ekonomiczny, a po dziennikach i broszurach czytamy różne recepty bądźto na przesilenie, bądźto na upadek ekonomiczny. Prawda, że wszystkie te spostrzeżenia naszych ekonomistów nie są bez naukowej wartości, ale dla Galicyi są to tylko paliatywa i figle mądrości.

Jeżeli Galicya, która ma 94% ludności, trudniącej się wyłącznie rolnictwem, jest krajem ściśle rolniczym, więc *to nieprawidłowe uiszczenie się z podatku gruntowego jest pierwszym i najgłośniejszym powodem nietylko upadku rolnictwa ale także przemysłu i handlu*, czyli „Ruiną Galicyi“. Najlepiej to udowodnią cyfry. Na mocy rzeczonej ustawy z 7. czerwca 1881 Nr. 49 Dpp. była Galicya obowiązaną sposobem stopniowanym zapłacić powinność podatku gruntowego tak:

1881	r.	5,074.680	złr.
1882	„	5,074.680	„
1883	„	5,493.646	„
1884	„	5,912.612	„
Razem		21,555.618	złr.

*) Tylko jeden podatek gruntowy ma być sposobem stopniowanym uiszczony. Podatki reszty kategoryi mają być pobierane jak dawniej.

---

wojskowych! Dlaczegóż wypuszczono go jako uzdolnionego po egzaminie w szkole kawaleryi z Weisskirchen? Czy tam już u młodzieńca dwudziestodwuletniego nie mogli się przełożeni dopatrzeć, że umysł jego nie odpowiada warunkom przyszłego oficera ułanów?

Boże wszechmocny! zlituj się nad ojcem, który zniósłszy tyle krzyżów Bożych przez ciąg żywota swego, pod tym ostatnim upada i jest mu już za ciężki!

Pióro z ręki wypada, bo przed oczami widzę straszną marę ze skrawioną piersią ukochanego syna Maryana, która stoi przed oczami dniem i nocą. Ale zbieram resztki sił, aby skreślić epilog tego strasznego dramatu.

Pierwsza wieść hiobowa doszła mię za kratami więzienia, odsiadując karę za sprawę, za którą nawet przed Bogiem mogę odpowiedzieć z podniesionem czołem. A wieść ta hiobowa tak brzmiała, pisana przez blizkiego sercu, w przekonaniu, że gdy już syn mój Maryan w zimnym grobie spoczywa, muszę przecież być już świadom mego nieszczęścia:

„Kochany Janie!

Odczuwam zupełnie tę boleść, ten żal głęboki, któremi cię wstrząsa wiadomość staszna. Nie tylko u nas, ale i w szerszym kole znajdziesz szczere współczucie, udział nie udany.

Jest to mało, ale jedyne, co choć w drobnej części przynosi pocieszenie. Biedaczysko, zakończył walkę szlachetnej ambicyi z przeciwieństwami swego położenia. Był zanadto skromny, co na tym świecie jest zaporą dla dążących w górę. Nie pierwszą ofiarą jest Maryan w tym pułku. . . . .

Zostawił u swoich kolegów i bezpośrednich przełożonych pamięć dobrą. Rotmistrz zajmował się szczerze i po ojcowsku swoim kadetem, którego serce dobre i charakter cenił.

I to jest pociechą, że została dobra pamięć po Maryanie, czem się odznacza od wielu innych, którzy nie mogli znieść ciężaru tego żywota. Zachowajmy i my kochany Janie dla kochanego Maryana pamięć serdeczną, ty jako ojciec, ja jako szczery przyjaciel.

Wiedeń, 12. Listopada 1885.“

Jak ten piorun oddziałał na ojca, brata i siostrę nieszczęśliwej ofiary, zbytecznem tu kreślić i nad moje siły, gdy każdy wyraz piszę krwią serca. List ten nadszedł dopiero na trzeci dzień po pogrzebie nieszczęśliwej ofiary.

Trzeba było dopiero telegramów do komendy pułkowej, aby ta w lakonicznych słowach doniosła, że wyseła list do siostry zmarłego. W liście tym, który nadszedł do Lwowa dnia 16. b. m., tłumaczy komenda tem spóźnione doniesienia, że nie znała adresów odpowiednich zmarłego, i dopiero otworzywszy list pisany przez siostrę do ś. p. Maryana, teraz, donosi, że pogrzeb odbył się dnia 13., nie podając ani dnia katastrofy, ani warunków, w jakich nastąpiła. Trudno pojąć, aby komenda pułku nie znała chociaż gminy, do której żołnierz przynależy. Dzięki dopiero osobom, zapytanym w drodze prywatnej, można było zebrać bliższe szczegóły.

S. p. Maryan widząc całą młodość swą zrujnowaną i widząc jasno, że nie w jego mocy będzie możność usunięcia przeciwności i uprzedzeń, pomimo najgorętszej korespondencyi z ojcem, siostrą, krewnymi, którzy go szczerze kochali i nim się zajmowali, nie mogła ta szlachetna dusza przeboleć tego, co mu uczyniono. Nie pomagały już prawdziwie ojcowskie przedstawienia i refleksye bezpośredniego jego przełożonego, a prawdziwie szlachetnego rotmistrza Roedlicha; melancholia opanowywała młodzieńca z każdym dniem coraz więcej.

Na trzy dni przed nieszczęsną katastrofą nie opuszczał kwatery, i dnia 10. Listopada o godzinie $3^1/_4$ po południu, targnął się na żywot własny, do czego użył karabinka wojskowego. Kula przeszyła wnętrzności i nadwerężyła kość pacierzową. Biedny cierpiał okropnie, lecz zachował wszelką przytomność.

Pytany, co go do tak strasznego czynu spowodowało, milczał, i może słusznie, bo gdy przyczyna nie była dla nikogo tajemnicą, pocóż były te pytania. Natomiast nie zapomniał o jednym wielkim obowiązku. Jako Polak, chrześcijanin i katolik, zażądał kapłana, sługi Bożego, aby na ziemi jeszcze i za życia ukorzyć się przed Bogiem. Gdy zaś sługa Boży przybył, spełnił tę ostatnią czynność na ziemi z wszelką skruchą i pokorą. Aż o godzinie 7. oddał Bogu ducha.

Dziwna rzecz, po śmierci nieszczęśliwego młodzieńca znaleść miano tylko list do komendy pułku, a ani do rodziny, ani do siostry, ani do brata, ani do krewnych, którzy go tak gorąco kochali z którymi był aż do ostatnich dni żywota w nieustającej styczności. Trudno zaiste pojąć, jeżeli ten nieszczęśliwy pamiętał nietylko o Bogu, ale i o komendzie pułku, aby nie skreślił chociaż kilku wyrazów do kogokolwlek z najbliższych jego sercu? Jestto tajemnica, dotąd niewyjaśniona.

W liście do komendy pułku miał wyraźni

a zapłaciła tak:

1881	r.	9,264.340	złr.
1882	„	9.264.340	„
1883	„	9,264 340	„
1884	„	9,264 340	„
Razem		37,057.360	„

O uiszczeniu się z powinności podatkowej według stopniowego przejścia, nie było w myśl rzeczonej ustawy podczas ubiegłych 4 lat ani mowy, bo zdaje się nareszcie, że inteligentni pp. rolnicy przez jakąś fałszywą ambicyą żenowali się tego i żenują, że niemogą sposób obrachowania tego stopniowego przejścia wynaleźć, ale mogą się z swych książek płatniczych przekonać, że każdy zapłacił rocznie od swego dochodu gruntowego po $27\frac{7}{10}\%$ na podatek przypisany, a po $15\frac{4}{30}\%$ na dodatki, czyli to, co według stopniowania dopiero w 10. roku (1892) zapłacić powinien.

Jeżeli rolnicy w ubiegłych 4 latach		
zapłacili	37,057.360	złr
a powinni	21,555.618	„
nadpłacili	15,501.742	złr.

Gdyby tych nadpłaconych przeszło **$15\frac{1}{2}$ milionów złr.**, były pozostały przy naszych rolnikach w kraju, czy nastąpiłoby to rozpaczliwe położenie ziemian i czyby nasz przemysł i handel tak strasznie podupadły?!

Do tej cyfry **15,501.742 złr. w. a**, zdaje mi się, nie potrzeba żadnego komentarza, albowiem te cyfry same są zanadto wymowne.

Ambroży Chmielewski.

Głos Niemca w Sejmie bawarskim o wydalaniach pruskich.

Podczas obrad Sejmu bawarskiego nad ugodą ekstradycyjną między Bawarją i Rosją, zabrał głos dep. Papius i przemówił jak następuje:

„Panowie! Nie jest to zaprawdę przypadkowym zbiegiem okoliczności, iż równocześnie z zawarciem tej ugody rozpoczęły się tłumne wydalania Polaków na granicy niemiecko-rosyjskiej. Rzecz sama jest już dosyć znaną. Wszyscy Polacy, którzy z urodzenia są poddanymi rosyjskimi, bywają odstawiani do granicy, bez względu na to, czy bawili w Niemczech przez lata lub całe lat dziesiątki, czy się tu osiedlili, czy się połączyli z niemieckiemi rodzinami, bez względu na to, czy służyli w wojsku niemieckiem, czy nie — władze odstawiają ich wszystkich. Panowie! Jaką zbrodnię można zarzucać tym ludziom? Zbrodnią ich jest, iż się urodzili Polakami, iż mówią ojczystym językiem, iż nie zapomnieli wyrazu „ojczyzna". Nawet imię Polaka bywa już poczytywanem za zbrodnię, to imię, o którem poeta Platon powiada: iż „jest zapisane krwią i stanowi wspaniały gwieździsty wyraz ludzkiej sławy".

„Ale powie ktoś może, że ci Polacy są wiecznie niezadowolonymi poddanymi cesarza Rosyi. Panowie, wiemy dobrze, że przy rozbiorze Polski dawano najuroczystsze przyrzeczenia, których nie dotrzymano następnie. Tam gdzie ich dotrzymano, gdzie się z Polakami obchodzono po ludzku, jak np. w Austryi, są Polacy najwierniejszymi poddanymi swego cesarza. A zdarzało się nieraz, że byli oni wiernymi nawet tam, gdzie w obec nich przyrzeczeń nie dotrzymywano.

„Panowie! Liczba wydalonych wynosi 30 do 40 tysięcy. Ileż cyfry te kryją w sobie cierpień i nędzy! Nie chcę zajmować panów szczegółami; wiadomo przecież wszystkim, z jaką te wydalania połączone były surowością i z jakiem okrucieństwem. Jest to niestety prawdą, panowie, że ideały sprawiedliwości i wolności nie mają już dzisiaj tej czarownej siły, jaką miały poprzednio. Nie da się zaprzeczyć, że miejsce ich zajęła troska o materyalne dobra; uczucia ludu niemieckiego nie stępiły się jeszcze do tego stopnia, żebyśmy nie uczuli ciężkiej porażki, jakiej sprawa wolności doznała przez to, że despotyzm rosyjski spotkał się ze zbyt wielką uległością.

„Co do mnie, idę jeszcze dalej i twierdzę, iż każdy, kto żywi jeszcze iskierkę prawdziwie wolnomyślnych przekonań, musi się oburzyć tem, co się dzieje na granicy Niemiec. Zdarzało się przecież, że ci sami ludzie, którzy rano otrzymali rozkaz wyniesienia się, dostali popołudniu wezwanie na ćwiczenia wojskowe. Godnym Sejmu bawarskiego czynem byłoby zaprotestować przeciw takiemu postępowaniu i w imieniu ludu niemieckiego wyrzec się wszelkiego wspólnictwa z tem, co się odbywa na granicy Niemiec; byłoby godnem tego Sejmu wnieść imieniem jednego ze szczepów niemieckich, protest przeciw postępowaniu, które sprzeciwia się wszystkim zasadom ludzkości, a które może imię niemieckie narazić zagranicą na pośmiewisko i pogardę."

KORESPONDENCYE.

Kraków 24. listopada 1885 r.

(Krakowska młodzież akademicka, — Czytelnia, — „Zdrowie — Prezydent miasta. — Gaz do oświetlania — Kaplica Zygmuntowska, — Ks. Midowicz, — Walne Zgromadzenie przemysłowców i rękodzielników, — Wieża pancerna.)

Dziś właśnie odbywa się walne zgromadzenie członków Czytelni akademickiej w Krakowie. Sprawa to ważniejsza, aniżeli na pozór wydawać się może, bo chodzi o wybór energicznego, rozumnego i patryotycznego prezesa, któryby potrafił działaniem swojem przeciwstawić środki radykalne, mogące tamować rozszerzenie się „filaretowstwa". Filareci jak donosiłem wam w poprzedniej korespondencyi, mają silne poparcie możnych profesorów, należących do stronnictwa konserwatywno-stańczykowskiego, tak dalece nawet, że pomiędzy studentami chodzi pogłoska, iż przy egzaminie, „gwiazdy" będące oznaką Filaretów, nwzględniane bywają. Wiele w tem prawdy, w to nie wchodzę, ale już złe jest i demoralizujące podobne pojęcie, stworzone przecież przez „Filaretów" vulgo rekrutów przyszłych członków wielkiego Tow. wzajemnej krakowskiej adoracyi. Młodzież nasza akademicka bezzaprzeczenia większe daje objawy życia publicznego i politycznego, aniżeli lwowska, chociaż trzymana jest w silnych karbach przez „zacnych" stańczyków. Za przykład niech posłuży ta okoliczność, iż Stowarzyszenie jakiejkolwiek młodzieży, pozostaje pod cenzurą Senatu uniwersyteckiego, a obecny kurator na posiedzeniach, lub obradach, zabrania wszelkiego rodzaju mów, odezw i uwag przeciw jakiemukolwiek rządowi, lub z tendencyą cokolwiek postępową Młodzież sama powiada, że wolałaby być pod bezpośrednią kontrolą policyi i komisarza, przyktórym wolnoby mówić jej co się podoba. Na pochwałę uczciwej, pracowitej i dobrze myślącej młodzieży krakowskiej, zapisuję fakta następujące:

1. Gdy Czytelnia akademicka lwowska upada, krakowska prosperuje bardzo i objawia życie, które tryska rzec można na każdym kroku

2. Gdy potrzeba pomocy, młodzież krakowska spieszy zawsze z niesieniem jej potrzebującym. Pamiętają wszyscy, gdy na wiosnę wylewy wyrządziły szkody włościanom w okolicach Krakowa, młodzież akademicka pierwsza pospieszyła z pomocą, dostarczając codziennie dużo bochenków chleba dla dotkniętych powodzią, które im p. H. zawoził i rozdawał na miejscu.

3. Z grona t. z. „Kijowszczyków" wyszła myśl długo trzymana w tajemnicy, aż stała się rzeczywistością. Założyli stowarzyszenie pod nazwą „Zdrowie" mające na celu pomoc bratnią, urządzanie tanich i zdrowych obiadów dla członków. Wpisowe oznaczone w kwocie 50 centów, a wkładki miesięcznie 25 ct. Dziś „Zdrowie" liczy do 500 członków, ma lokal obszerny w Szarej kamienicy w Rynku i wydaje do 45 obiadów dziennie po centów 25. Gospodarstwo prowadzone jest w własnym zarządzie. Zbytecznem byłoby rozwodzić się nad korzyścią i doorodziejstwem podobnej instytucyi.

Dnia 27. bm. młodzież akademicka daje wieczorek w sali hotelu Saskiego na cześć Mickiewicza. Czysty dochód przeznaczony na pomnik naszego wielkiego poety.

Gdy tak krząta się młodzież około wspólnego dobra, napełniając otuchą i nadzieją w przyszłość — co robią nasi „wielcy" w Krakowie?

Dr. Szlachtowski, burmistrz, zrezygnował z prezesostwa Izby adwokackiej, gdyż czynności miejskie nie pozwalają mu oddawać się innej pracy. Gdybyśmy naszego prezydenta sądzili z tego czynu, moglibyśmy przypuścić, ze w istocie energicznie zajęty sprawami miejskiemi. Tymczasem idzie wszystko po staremu tj. nieudolnie, szlamazarnie i bez inicyatywy. Panuje duch ostracyzmu, inepcyi, rutyny, która wszystko głuszy i zabija. Kraków leżący na drodze do Zachodu, czy uwierzycie, nie jest oświetlony gazem ale naftą, palącą się tak ciemno, że o dziesięć kroków nie widać na ulicy wieczorem zupełnie, jak w owych błogosławionych czasach, w których ludzie gazu nie znali a miasta średniowieczne olejem oświetlali. Spór z Tow. gazowem trwa ciągle, a przecież krakowska gmina, mogłaby gazownię własną posiadać Od 15 listopada t. r. oświetlone miasto gazem wedle referatu p. Jakubowskiego, ale tylko na papierze, a do dziś dnia 24. listopada, jeszcze nie myśli nikt o stawianiu wyrzuconych latarni gazowych.

Aby dać wam przykład, jak sprawy miejskie bywają traktowane, wspomnętylko, że na posie-

---

żądać, aby o skonie jego nie donoszono nikomu z rodziny, aż dopiero po pogrzebie. I w tej woli maluje się szlachetność jego duszy, bo nie mając odwagi pożegnać się za żywota, nie chciał sprawiać boleści widokiem trupa skrawawionego.

Jedyna pociecha, jaka dla tak ciężko zranionego serca ojca i najbliższych pozostaje, — jest to widocznie szczere pojednanie się z Bogiem, gdyż wielce szanowne duchowieństwo nie uważało go jako samobójcę, grzesznika, jeżeli odprowadziło go gremialnie na ostatni spoczynek do grobu. Dzięki Wam, dzięki zacni kapłani, za tę prawdziwie chrześcijańską miłość i współczucie dla nieszczęśliwego syna polskiej ziemi, który obrał sobie stan żołnierski:

„Nie dla chleba, nie dla błyskotek munduru ułańskiego, ale dla idei przyszłości, którą wyssał z piersi Matki."

Żegnaj mi najukochańszy synu Maryanie! Żegnaj żołnierzu, — ułanie przyszłości! — Niech ci Bóg przebaczy ten ból i żal, jakim serca rodzica i twoich najbliższych napełniłeś, bo ja ci go przebaczam, gdyś umarł pojednany z Bogiem, czysty i niepokalany na czci i honorze młodzieńca polskiego!

Oby dusza twoja połączyła się z duszą Macierzy, która cię za żywota tak wielce ukochała!

Żegnaj mi synu — ofiaro! — Nie na długo, bo wkrótce i rodzic twój z tobą się połączy — i razem zaniesiemy skargę przed tron Najwyższego Sędziego i Najwyższego Hetmana Narodów i światów!

Jan Nepomucen z Oleksowa Gniewosz.

Pamiętnik więźnia stanu

ś. p.

Ks. Wincentego Bukowskiego,

PLEBANA.

5)

(Ciąg dalszy).

Czerniowce.

Piękne to miasto na prawym brzegu spławnej rzeki Prutu, na wzgórku położone, wesołe i ruchliwe, mieszkańcy mówią różnymi językami Miasto to miły sprawia widok na przyjezdnym. Jak smutną budzi we mnie z jednej strony pamięć szczyt najokropniejszej nędzy, w jakiej nigdy ani przedtem ani potem nie bywałem. Proszę sobie wyobrazić młodzieńca w obcem mieście, bez żadnego przyjaciela lub też znajomego, nie wiedzącego co do ust włoży i gdzie głowę położy, gdzie sobie odpocznie.

Gdym się po kieszeniach pomacał, znalazłem jeszcze ostatnie trzy grajcary, które wydałem na kieliszek wódki i bułkę na przekąskę, prosząc szynkarza katolika, aby mi chciał schować tę chustkę, czyli węzełek, w którym była para koszul zawiązana; sam zaś z laseczką w ręku popędziłem do rynku z miną studencką, tak, jakbym był tutejszy. Idąc tak przez rynek, spotykam młodzieńca również z laseczką, po której jakoś domyśliłem się, że tenże musi być filozofem. Przystępuję do niego i wprost pytam, czy można tu dostać lekcyj i czyliby nie był tak dobrym, mnie nieszczęśliwemu, odbwszystkich opuszczonemu, podać pomocną rękę, stręcząc w jakim domu lekcyę.

Trafiłem na poczciwe serce i czułe; a gdy mu opowiedziałem nieszczęśliwe moje położenie, i wszelkie okoliczności, potrafiłem go tak wzruszyć, że wziąwszy mię pod ramię, zaprowadził do siebie aż na przedmieście, gdzie u jakiejś wieśniaczki przemieszkiwał. Za godzinę już byliśmy z sobą jakby dawni przyjaciele: on warzył mamałygę, a ja donosiłem wody garnczkiem z bliskiej studni, a gdy była gotowa, poprosił o mleko i zajadaliśmy suty obiad, który nam smakował jak jaki specyał wyborny, bo go głód i szczerość okrasiły. Podjadłszy sobie jeszcze „barabolów" (ziemniaków), spoczywaliśmy pod cieniem rozłożystego orzecha i opowiadałem mu moje przygody, powtarzając ciągle prośbę, aby mi się wystarał o kondycyę, czyli lekcye. Jakoż uczynny ten i szlachetny młodzian, nazwiskiem Jan Vojgt, ze Stanisławowa rodem, nastręczył mi pierwszą lepszą kondycyę, ubolewając, że prędzej nie zaszedłem do Czerniowiec, bo byłby mi sam swoje lekcye odstąpił, gdyż ukończywszy filozofię w Czerniowcach, udawał się na prawa do Lwowa. Upewniał mię, że po wakacyach, gdyż to był właśnie ten czas, niezawodnie kondycye jakie znaleść muszę.

Nazajutrz poszedłem z nim do tego domu, gdzie przyjąłem obowiązek uczenia, a on wkrótce odjechał, życząc mi pomyślności i szczęśliwego studyów ukończenia. Szlachetny młodzieńcze! może dziś mężem i ojcem rodziny jesteś — oby cię Bóg tak z opieki swojej nie opuszczał, jak ty mnie nie opuściłeś, dzieląc się ze mną ostatnim kęsem chleba, ostatnią łyżką mamałygi.

dzeniu Rady, postawiono kwestyę odnowienia kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu, która gwałtem potrzebuje reperacyi. Wandalizm najstraszniejszy zniszczył już najpiękniejszą architekturę i rzeźby renesansowe, podziwiane przez europejskie znakomitości. Przy restauracyi otynkowano kamienie i rzeźby, gzymsy i kapitele grubo białem wapnem, dając tem dowód, że pomimo iż Kraków posiada tyle sił artystycznych, ludzie kierujący restauracyą, odznaczali się grubą nieznajomością rzeczy. Aby wapno trzymało się muru, sciosano głazy stare, a przecież głazy te, w naszej sztuce narodowej posiadają nadzwyczajną historyczną wartość. Przy tak drażliwej sprawie mogącej być z uszczerbkiem dla niejednej miejskiej wielkości, nie dopuszczano do dyskusyi nikogo. Powiadam nikogo to znaczy z takich, którzyby mogli jasne światło rzucić na dzisiejsze nieudolne rządy. Zamknięto więc zaraz dyskusyę, jednakże o głos prosi ks. kanonik Midowicz. Dr. Szlachtowski, przewodniczący, nie daje mu głosu w tej sprawie, ale udziela go w tej samej sprawie dr. Majerowi. A gdy znowu na tej podstawie ks. Midowicz domaga się głosu, przewodniczący mu go nie udziela i naturalnie, że ks. M. składa rezygnacyę, a w nim ustępuje z Rady miejskiej członek rozumny i bardzo pożyteczny. Ten przykład niech charakteryzuje stosunki nasze w Krakowie w walce ze stronnictwem, które zabiera wszystkie miejsca i rządzi absolutnie, gdy opozycya u nas śpi, lub błąka się bez przewodnika i bez steru.

W niedzielę 22. bm. odbyło się zebranie przemysłowców i rękodzielników, na którem obecnych było przeszło 300 członków, którzy uchwalili wnieść petycyę do ministerstwa handlu, w celu zabronienia więźniom robienia przemysłowej i rękodzielniczej konkurencyi uczciwym pracownikom.

Obecnie cały Kraków przypatruje się codziennemu przewożeniu wieży pancernej, która sprowadzona jest z Magdeburskiej fabryki i ustawiona na górze, zwanej Smierdzącą, za Bielanami. Przewożenie odbywa się kawałami, z dworca kolejowego na miejsce przeznaczenia, za pomocą zwyczajnej wielkości lokomotywy drogowej. Pod tym ciężarem ziemia się trzęsie; powiadają nawet, że w niektórych miejscach walą się kanały krakowskie. Wieża ta stanie na miejscu strategicznem, dominującem nad całą okolicą, nad Wisłą i nad Krakowem, a pośpiech, z jakim odbywa się stawianie tej wieży, daje mieszkańcom do myślenia, że rząd przygotowuje się na wszelką ewentualność, mogącą z wschodniego horyzontu wybuchnąć.

Ciekawe dwie sprawy

z przeszłości i teraźniejszości.

W Nrze 327 *Kurjera lwowskiego* z dnia 26. Listopada r. b. czytamy następujący artykuł:

Nowa klęska. Przed kilku tygodniami intendantura wojskowa w Krakowie przedłożyła ministerstwu wojny raport, jakoby żyto galicyjskie nie kwalifikowało się do wyrobu mąki dla piekarń wojskowych z przyczyny, że zawiera tak zwany miodek *(Mutterkorn)*, i że dla tego należałoby do wypiekania chleba komiśnego postarać się o mąkę skądinąd. Odbyto też probę z wielką skrupulatnością i znaleziono w 100 kilo żyta 20 dekagramów czyli $^1/_{5000}$ część wzmiankowanej przymieszki. Wprawdzie zdaniem profanów w tak małej ilości nawet arszenik może być bez jakichkolwiek następstw spożyty i z całej ludności cywilnej nikt się nie użalał na otrucie chlebem żytnim, lecz wojskowość w tym wypadku posunęła troskliwość o zdrowie do tak przesadnej miary, że zarządziła sprowadzenie mąki żytniej dla piekarń wojskowych aż z Węgier.

Uznajemy troskliwość o zdrowie żołnierzy i pragnęlibyśmy usilnie, aby wojsko było lepiej żywione, cieplej odziane i aby w koszarach palono w zimie częściej, niż raz w tygodniu, jak to się obecnie praktykuje, ale w powyższym wypadku zdaje nam się, że posunięto się przecież za daleko. Jeżeli intendantura ma jakie wątpliwości co do jakości galicyjskiego żyta, może zasięgnąć opinii protomedyka dra Biesiadeckiego, będącego powagą w zawodzie lekarskim, lub niech się odniesie do krakowskiego fakultetu lekarskiego, ale na podstawie orzeczenia kilku sztabsarztów uznać produkt krajowy spożywany przez miliony ludności — jako szkodliwy i sprowadzać mąkę żytnią z Węgier — to zakrawa na ekstrawagancyę niemal zabawną, gdyby w swych skutkach nie była tak szkodliwą.

Otóż artykuł ten przypomina podniesioną przez nas sprawę w *Sztandarze polskim* w Nrze 26. z dnia 18. Marca 1882 r., który znowu tak opiewa:

Młyn parowy Roberta Domsa i Mojżesz Pułtorak, czyli z czego się piecze chleb żołnierski.

Dla wiadomości c. k. Wysokich Ministeryum Wojny, Generalnej komendy wojskowej we Lwowie i Prokuratoryi Państwa.

Z obowiązku sumienia mamy do przedłożenia wyż wymienionym c. k. Władzom fakta, które do głębi duszy oburzyć muszą każdego prawego obywatela.

Gdy fakta te popełnianej rozmyślnej zbrodni na sile społecznej kraju, która stanowi nietylko tegoż, ale całej Monarchii obronę, nie są tylko chwilowym jednorazowym czynem, ale dopełniają się systematycznie ze szkodą zdrowia braci i synów naszych, nie wahamy się ani chwili, aby takowe oddać w ręce sprawiedliwości. Rzecz się tak ma:

C. k. Władze wojskowe zawierają kontrakta z przedsiębiorcami na dostawę dla pułków konsystujących w Galicyi, gotowej mąki, która używaną jest na wypiek chleba żołnierskiego.

Kontrakta te jak nam wiadomem jest, są ściśle i szczegółowo ułożone, mianowicie w warunkach zdrowotnych, jaki gatunek zboża, jak czyszczony i jak mielony być ma, aby odpowiadał wymogom zdrowotnym i wartościowym.

Każdy dostawca zobowiązany kontraktem, obwarowany jest wyraźnemi karami, gdyby któregokolwiek z warunków na siebie przyjętych, niedopełnił. Tak wyglądają jednak tylko warunki te na papierze, w teoryi, — a zupełnie inaczej ma się rzecz w praktyce.

Panowie dostawcy mąki niewiadomo w jaki sposób, jakiemi drogami, umieją się zasłaniać przeciw wszelkiej karze i z dziwną pewnością, odwagą właściwą tego rodzaju ludziom, dopuszczają się bez najmniejszej przerwy zbrodni oszustwa, na szkodę wartościową c. k. armii.

Posłuchajmy jak się ta procedura odbywa:

Przed pięciu miesiącami Mojżesz Pułtorak, handlarz mąki we Lwowie, zawarł kontrakt z właścicielem młyna parowego Robertem Domsem na mielenie zboża na mąkę chlebną, którą się zobowiązał kontraktem, dostawić do c. k. magazynów prowiantowych we Lwowie, tak zwanych (Verpflegsmagazine). Mojżesz Pułtorak, dostawia zboże do młyna, a podwładni p. Roberta Domsa pod kontrolą tegoż, mielą to zboże i oddają gotową mąkę Mojżeszowi Pułtorakowi, a od niego zaś odbierają c. k. Urzędy do magazynów prowiantowych armii.

Jakość jednak tej mąki przedstawia jedno pasmo zbrodniczego oszustwa, gdyż według kontraktu z c. k. Władzami zawartego, Mojżesz Pułtorak zobowiązany jest używać żyta zdrowego i oczyszczonego. Tak jednak niepostępuje; zakupuje on zaledwie trzecią część potrzebnego na ten cel ziarna, a dwie trzecie części dopełnia, zakupując w rozmaitych młynach najgorszego gatunku poślady, składające się głównie ze szkodliwego zdrowiu Kąkolu (Agrostemma Githago) Wyk'i polnej i innego ziarna chwastów, które mleć każe, a będący z nim w zmowie starszy młynarz w młynie Roberta Domsa, nazwiskiem Pischel, wraz z inną służbą, dokonują zbrodniczej domieszki.

Oprócz kąkolu, chwastów również szkodliwych i najgorszego pośladu, mielą się płonne otręby, czyli tak zwany, najpośledniejszy — „Gries“ — na mąkę, i miesza z prawdziwą normalną mąką żytnią.

Stosunek używany tej mięszaniny jest: na jeden worek prawdziwej mąki żytniej, — dwa worki zwyż wymienionych odpadków.

Odpadki te albo są przywożone do młyna w naturalnym stanie, lub też sprowadza takowe Mojżesz Pułtorak z innych miejsc, już gotowe zmielone.

Niedosyć na tem: — dla osiągnięcia większych korzyści z uchodzącege dotąd bezkarnie oszustwa, każe Pułtorak zmiatać wszelkie tak zwane: „Stochmahle“ — zalegające podłogę i takowe zmieszane z ziemią i innemi nieczystościami dołącza do mąki żołnierskiej, z której następnie w c. k. magazynach prowiantowych wypieka się chleb, — to główne pożywienie żołnierza.

Na jaką stopę prowadzi się to oszustwo, dowodzi najlepiej tęn fakt, że tylko od 2. Marca r. b. do 15tego wprowadził do młyna Roberta Domsa, Mojżesz Pułtorak 494 worków wyż wymienionych pośladów i odpadków, z których znaczną część mają sposobność c. k. Władze jeszcze dziś 18 Marca r. b. lub dnia następnego t. j. 19. Marca w niedzielę oglądać i według przepisów procedury karnej postąpić.

Za wyjaśnienie wszelkich zwyż wymienionych zbrodni oszustwa, bierze podpisana Redakcya „Sztandaru pol.“ wszelką odpowiedzialność na siebie i gdy tego potrzeba się okaże, dostarczy dostatecznej liczby wiarygodnych świadków i wszelkich okazów tego oszustwa, które w redakcyi „Sztandaru polskiego“ i

---

Jeszcze pierwszego dnia noclegu, wydobyłem mój węzełek i z słowa do słowa przyjąłem u tegoż szynkarza obowiązek uczenia mu synka, a tak miałem już zabezpieczone życie stndenckie.

W owych to czasach była wszędzie, a szczególniej w Czerniowcach niesłychana taniość. Za sześć guldenów m. k. można było dostać stancyę z wiktem i praniem i to wikt wyborny; a kto się kontentował mniejszem, to mógł za dwa floreny na miesiąc, mieć codzień rosół, mięso i kaszę lub kluski, razem ze stancyą. Bodaj się święciły owe lata, ale przepadły bez powrotu.

Ale wracam do mojej kondycyi. „Tonący chwyta się brzytwy“, tak i ja musiałem się na razie chwycić tej uciążliwej, niewdzięcznej kondycyi. Było to u urzędnika finansowego, byłego krawca, których Niemcy łowili po ulicach i zaprzęgali do pióra. Prostak, gbur, bez wychowania, wychowywał tak i dzieci swoje, a jejmość, druga Xantypa, wodziła rej w domu. Za nędzny wikt musiałem uczyć czworo dzieci, dwoje do wyższych klas, a dwoje jeszcze małe, co nie mało zabierało czasu, a do tego tępe do nauki, jak żelazne brzytwy do golenia.

Ojciec, biurokrata, z dyrektorem, t. j. nauczycielem, nie wdawał się, a nawet nie raczył go pogościć kurczęciem, lub inną pieczenią, którą sam w oczach moich pożerał. Ledwie się zmierzchło, zamykał się jak w fortecy i nie dozwalał wyjść już, nie mówię dzieciom swoim, ale i mnie, aby używać świeżego wieczornego powietrza, lub przysłuchać wojskowej muzyce podczas capstrzyku. Gburowatość swoją posuwał do tego stopnia, że mnie budził o godzinie 6 rano do dawania lekcyj, jak parobka, lub oburzał się, że syn jego bazgrał jak kogut. Nie dali mi nawet się czem przykrywać tymczasem, nim moja pościel nadeszła ze Lwowa, a jakiś kilimek, którym mię uraczono, na którym może ich pies spoczywał, napełniony milionem pcheł, spać mi nie dozwalał. Oka nie mogłem zmrużyć, aż go precz rzuciłem, przykrywając się własnym surdutem.

Nie tak wyglądają żydzi mesyjasza, jak ja wyglądałem końca tych wakacyj. A jakżeż trudno się było ich doczekać. Dlatego pewnego wieczora, wziąwszy swój węzełek, wyniosłem się z tej ohydnej kondycyi, na przedmieście do owej baby, u której na wstępie znalazłem gościnne przyjęcie. Tu czekałem rozpoczęcia nowego kursu. Poczciwa wołoszka już w latach, żywiła biednych studentów za małe pieniądze, zadowalniając się bardzo małym zyskiem.

Na dwa tygodnie przed rozpoczęciem studyów, podałem do dyrektora nauk filozoficznych prośbę o przyjęcie do studyów i nawet osobiście byłem u niego, prosząc usilnie, aby mi nie odmówił tego ostatniego ratunku i łaski. Ryl to stary ujadacz. Niemiec, duszą i kościami. Dosłużył się tytułu hofrata. Nazywał się Maltschek, dobry w gruncie serca ale opryskliwy. Trzeba było do niego z całą pokorą przemawiać, inaczej biada, był nieugięty, uparty.

Postanowiłem rozpocząć studya filozoficzne od pierwszego roku, aby dostawszy dobre klasy, puścić się potem na prawa lub na inne studya, i porzucić stan duchowny. Sprawa moja, przyjęcia na studya, stała bardzo źle. Cztery lata stracone, a do tego porzucenie zakonnego życia, musiały wywierać na hofracie niepomyślne myśli dla mnie. Ale Bóg zdziałał przeciwnie.

Zapukawszy do drzwi, odebrawszy odpowiedź, wszedłem z pokorą i wynurzyłem mu w języku niemieckim moją prośbę. Przychodzę — rzekłem w pokorze — prosić o przyjęcie na studya filozoficzne. Od lat czterech walcząc z przeciwnościami, mimo najszczerszej chęci uczenia się i stania pożytecznym członkiem społeczeństwa ludzkiego, nie mogę tego dopiąć, będąc opuszczony i ubogi. Próbowałem w zakonie być użytecznym, ale podczas próby przekonałem się, że zakonne życie nie odpowiada mojemu celowi; dlatego wystąpiłem i szukam tu schronienia oraz przyjęcia na studya i mam nadzieję, że wielmożny pan hofrat, jako ojciec dzieciom, zna najlepiej, co to jest litość i z tego przymiotu słynie w Galicyi, nie odmówi mej prośbie i przyjmie mię do liczby uczniów filozofii.

— Do stu katów! — krzyknie pan hofrat — młodzież galicyjska (ma się rozumieć polska) aż z Przemyśla, ze Lwowa, pcha się do Czerniowiec. Jakieś same niedobitki, lamparty, wywłoki zakonne i tym podobne, co tu mają porabiać na Bukowinie?! Idź pan sobie gdzie chcesz i szukaj przyjęcia, tu niema co robić.

— Ale — rzekłem — wielmożny pan hofrat nie może potępiać zahałem młodzieży z Galicyi, tu przytułku szukającej, bo przyznaję panu hofratowi, że i tacy się znajdują, jak pan wspominasz; lecz mogą się trafić i prawdziwi nieszczęśliwi, lub prześladowani, a tych odpychać byłoby nieczułością ze strony tak powszechnie kochanego pana hofrata. Oto proszę się łaskawie przypatrzeć tym świadectwom: obyczaje moje są nienaganne, bo nawet zakonne świadectwo, które jak wiadomo wielm. panu hofratowi, bywa często mściwem piórem pisane, dla mnie jest chlubne; coby przecie nie było, gdybym nie był

„Strażnicy polskiej“ przy ulicy Trybunalskiej pod L. 1. można każdego dnia oglądać.

Lwów dnia 18. Marca 1882 r.

J. N. z Oleksowa Gniewosz.

Odpowiedzialny redaktor „Sztandaru polskiego“ i „Strażnicy polskiej“.

Po wręczeniu pierwszego Nru *Sztandaru polskiego* z powyższem doniesieniem publicznem c. k. Prokuratoryi państwa we Lwowie, takowa czuła się spowodowaną do natychmiastowego wysłania do młyna parowego p. Roberta Domsa p. Litwinowicza, c. k. Sędziego w sprawach karnych ówczesnie, który przybywszy na miejsce z odpowiednią asystencyą, znalazł w tymże młynie 500 worków mąki fałszowanej jak wyżej, którą obłożył aresztem, obciągnąwszy te 500 worków sznurami i zaopatrzywszy urzędowemi pieczęciami. Wdrożone natychmiast śledztwo karne, spowodowało c. k. Sąd karny uwięzić Mojżesza Pułtoraka, dostawcę mąki i Ignacego Pischla, starszego młynarza z młyna parowego p. Roberta Domsa.

Oprócz powyższego doniesienia, redakcya *Sztandaru polskiego* deklarowała się dostarczyć świadków powyższego oszustwa rozmyślnego, którzy manipulacye pp. Pułtoraka i Roberta Domsa oraz Pischla stwierdzą przysięgą. I rzeczywiście, podała kilkanaście nazwisk. Czy ci świadkowie byli wszyscy słuchani i zaprzysiężeni, o tem nam nie jest wiadomo.

Wiemy i pamiętamy natomiast, że p. Robert Doms wyjechał równocześnie ze Lwowa, a tylko głuche pogłoski krążyły, że się udał aż do Istryi. Pp. Mojżesz Pułturak i Ignacy Pischel zostali po dwóchmiesięcznem uwięzieniu około 20 Maja 1882 r. wypuszczeni na wolność, i równocześnie p. Robert Doms powrócił znowu do Lwowa.

Dowiedzieliśmy się tylko, że śledztwo zostało zaniechane, i oczekiwa liśmy z dnia na dzień zawezwania do c. k. Sądu karnego i że będzie z Redaktorem *Sztandaru polskiego* przeprowadzone śledztwo o oszczerstwo zarzuconej zbrodni oszustwa panu Robertowi Domsowi, Mojszowi Pułturakowi i Ignacemu Pischlowi.

Na oskarzenie to byliśmy najzupełniej przygotowani; lecz p. Mojżesz Pułturak i Ignacy Pischel, którzy wskutek naszego doniesienia publicznego byli uwięzieni, gdy zaś śledztwo zostało umorzone, cierpieli niewinnie, i p. Robert Doms, pan milionowej fortuny, któremu również zarzuciliśmy zbrodnię oszustwa, — nie uważali za właściwe bronić swego honoru i pociągnąć tak samo, jak p. Aleksander Hryniewiecki do odpowiedzialności przed kratki Sądu kryminalnego.

Na tem kończymy przypomnienie analogicznej sprawy, jaką podnosi *Kurjer lwowski.*

Znowu smutna ilustracya do autonomicznego zarządu gmin w kraju.

Kurjer kołomyjski podaje następującą korespondencyę z Żabiego:

Żabie, 21. listopada. Nie było majętniejszej wsi w całej Galicyi, jak Żabie, w powiecie kosowskim. Gospodarze posiadali po kilkaset morgów połonin, wypasali bydło i trzodę, sławne na całą Europę. Ludzie czuli się wolni — i wolność wrodzona przechodziła z pokolenia w pokolenie. A dziś? Dziś wieś podupadła moralnie i materyalnie.

Moralnie — gdyż w tej wsi namnożyło się mnóstwo obcokrajowców i żydów, którzy do tego doprowadzili, iż obecnie moralność niżej stoi od miast i nie masz we wsi nikogo, ktoby starał się o umoralnienie tego ludu.

Podupadła i materyalnie, — gdyż od lat dwudziestu cała gospodarka gminna znachodziła się w rękach ludzi nieuczciwych, dybiących na zgubę majątku gminnego.

Kilku śmielszych gospodarzy — a między nimi pp. Antoni Teodor Siniutowicz i nauczyciel ludowo Bojarski, wzięli się energicznie do zaprowadzenia porządku — lecz święta sprawa zawsze ma swoich wrogów — tak i tych nazwano socyalistami, grożono więzieniem — a nawet pana Siniutowicza czterokrotnie aresztowano. Lecz nieugięty zwołał wiec — zawiadomiwszy wprzód c. k. starostwo w Kosowie i przedstawił całą smutną gospodarkę, wzywając ludzi do wyboru delegatów, którzy całą sprawę przedłożyć mają Namiestnictwu, Wydziałowi krajowemu — a w razie, gdyby u powyższych władz nic nie pozyskali — odnieść się do Najjaśniejszego Pana. W lecie b. r. faktycznie wybrana delegacya była nie tylko na audyencyi u pana namiestnika i marszałka krajowego, lecz i u Najjaśniejszego Pana. A rezultat tej delegacyi był taki, iż Wydział krajowy wysłał 7. b. m. radcę p. Michalczewskiego na szkontro kasy i gospodarki gminnej. Wynik był następujący: Brak gotówki w kasie gminnej około 37 tysięcy, majątek gminny prawie znikł z horyzontu, wszelkie sprawy załatwiał były wójt według swoich i popleczników zachcianek, słowem całej wsi Żabie groziła ruina.

Byłego naczelnika gminy zasuspendowano i oddano naczelnictwo byłemu jego zastępcy, człowiekowi sumiennemu.

Radca p. Michalczewski odjechał ze Żabiego dnia 19. b. m., przyrzekając uwolnić gminę od pijawek, ssących krew ludzką od 20 lat. Obecnie jest jeszcze sędzia śledczy z Kosowa, który bardzo energicznie prowadzi śledztwo w powyższej sprawie. Gmina wystosowała adres dziękczynny do marszałka Zyblikiewicza.“

Otóż czytając to doniesienie, mimowoli nastręcza nam się myśl następująca: Żabie, położone nad Czeremoszem, jak wiadomo, oprócz gmin samodzielnych, zajmuje ogromne obszary lasów i połonin, należących do fundacyi Skarbkowskiej. Majątkiem tym fundacyjnym zarządza od lat kilkunastu, coś tak około dwudziestu, p. Gregorowicz, który siedzibę swą ma w Żabiem. Przed kilku laty p. Gregorowicz wybrany został na prezesa Rady powiatowej w Kossowie i jest po dziś dzień tamże marszałkiem. Otóż dziwnem się to zdaje, a nawet nieprawdopodobnem, aby p. Gregorowicz, zamieszkały od tyle lat w Żabiem i będąc w nieustannej styczności z gminą i włościanami, należąc do ludzi inteligentnych i posiadający takie zaufanie, że go aż prezesem Rady pow. wybrano, pytamy, jak mógł nie wiedzieć, co się w gminie Żabie dzieja i jako marszałek powiatu, nie uczynił nic dotąd, aby tym strasznym nadużyciom zapobiedz?

Czy mu nic o tem nie było wiadomo, i nie obchodziło go, dlaczego Antoni Teodor Siniutowicz był czterokrotnie aresztowany? Czy p. Gregorowicz nie miał żadnej styczności z nauczycielem p. Bojarskim? Czy nie uważał za właściwe dowiedzieć się od niego, co się w gminie dzieje i kto na Siniutowicza i Bojarskiego rzucił podejrzenie, że są socyalistami?

Przypatrzmy się i rozważmy, ile to silnej woli było potrzeba, oraz obywatelskiej odwagi cywilnej u tych ludzi, którzy nie dali się niczem zastraszyć? Gdzież był i co robił p. prezes Rady powiatowej kossowskiej, zamieszkały w Żabiem?

Jak taka walka o uczciwą sprawę jest trudną, dowodzi ustęp w korespondencyi, jeżeli jest prawdziwy, iż pomimo, że były w lecie delegacye w tej sprawie nietylko u p. Namiestnika i p. Marszałka krajowego, lecz i u Najjaśniejszego Pana i dopiero ta ostatnia delegacya spowodowała, że Wydział krajowy wysłał 7. b. m. radcę p. Michalczewskiego na skontro kasy i gospodarki gminnej, który wykrył zniknięcie majątku gminy w gotówce około 37.000 złr.

Zwracamy na tę sprawę uwagę pp. posłów, zebranych w Sejmie, gdyż nie jest to sprawa wyjątkowa, ale jedna z bardzo licznych, na które, jeżeli autonomia kraju ma być nadal utrzymaną, należy zwrócić nader pilną uwagę, wybrać z grona posłów osobną komisyę, którąby się zastanowiła i zbadała wyczerpująco tego rodzaju sprawy, a bezpośrednich lub pośrednich winowajców pociągnęła do jak najsurowszej odpowiedzialności.

Należałoby przedewszystkiem zbadać, kto zawinił, że sprawa Żabiego wniesiona jeszcze latem do Wydziału kraj., dopiero teraz znalazła tam uwzględnienie i wysłano urzędnika na szkontro kasy?

Moglibyśmy na tem artykuł powyższy zakończyć, gdyby nam nie stanęło na myśli dobro fundacyi skarbkowskiej. Co się działo na tym obszarze Żabiego, aż do najnowszych czasów, o tem *Strażnica polska* niejednokrotnie donosiła. Wszakżeż tam zmuszone było nawet wysokie Namiestnictwo interweniować w sprawach szacherek i oszustwa, popełnianych przez sprzedaż lasów i karygodne obchodzenie kontraktu, który to kontrakt nakazało Namiestnictwo zmienić, i uważać jako nieprawny. Zarządcą lasów i całego majątku Żabie, należącego do fundacyi skarbkowskiej, był podczas tych „Köweszind“ p. Gregorowicz“.

W tej chwili jest możebność wykrycia wszelkich nadużyć i rabunku, jaki tam w majątku fundacyjnym praktykował się co najmniej od lat dwudziestu i to pod zarządeem p. Gregorowicza.

Otóż zwracamy na ten fakt uwagę p. Hr. Henryka Skarbka, obecnego kuratora fundacyi, zwracamy uwagę p. Tadeusza Lange, dyrektora dóbr fundacyi i posła na Sejm krajowy, czyby nie raczyli się zastanowić i zbadać ściśle, czy p. Gregorowicz jest nadal możebny, jako zarządca dób Żabie?

---

godzien dobrego świadectwa. Bądź pan hofrat łaskaw nie odmówić mojej prośbie, a przekonasz się, że nie zawiodę jego dobroci.

— Na jakie studya chcesz być przyjęty?

— Ja myślę da capo zacząć od pierwszego roku.

— Co do djabła? — utraciłeś już pięć lat, i znów chcesz zaczynać od początku? — i rzucił świadectwami o podłogę. — Idź precz, z tego nic nie będzie, latami nie można tak szafować!

— Ale zmiłuj się panie hofracie! Właśnie, że chcę się stać pożytecznym człowiekiem, rzucam przeszłe lata w niepamięć, chcę rozpocząć na nowo i uczyć się z całem poświęceniem.

— Idź pan precz! Zobaczymy.

— Jabym prosił, aby wielmożny pan hofrat raczył mi wkrótce dać odpowiedź, bo w razie odmowy udam się do Koszyc.

— A tak, rzecze — tam cię jeszcze nie było!

— Nie, nie, — ja mam nadzieję, że wielmożny pan hofrat uwzględni moje prośby i niedopości, abym się tułał po świecie.

— No, no, podaj pan, zobaczymy.

Trzeciego dnia już było wydane przyjęcie moje do studyów filozoficznych. Takie to były przyprawy dla polskiej młodzieży, chcącej się oddać naukom.

Powtórne studya filozoficzne.

Gdy tak ceniąc swoją niepodległość, wolałem na przedmieściu biedować, karmiąc się mamałygą i kwaśnem mlekiem, niżli być parobkiem u grubjanina urzędnika, schodziły mi dnie i godziny, i wyglądałem rozpoczęcia roku szkolnego. Jakoż znowu wielu nieszczęśliwych filozofów z Przemyśla i ze Lwowa zaczęło się zjeżdżać do stolicy Bukowiny. Było między nimi i kilku znajomych, kilku ściągniętych z zakonu, którzy się ze mną na przedmieściu dzielili szczupłem mieszkaniem i strawą. Wyrabiałem im podania do dyrektoryatu filozofii, za co mię znowu uraczali winem mołdawskiem, albo piwem. Porzuciłem u owego szynkarza lekcyę jako za daleką i niewdzięczną; szukałem kondycyi, prosiłem pp. profesorów i prefekta, ale wszystko nadaremnie. Już nie wiedziałem jak dalej żyć, bo i zima się zbliżała, nie miałem pewnego schronisia. Szkoły rozpoczęły się na piękne; wesołość moja, niewinne żarty, a czasem dowcipy, które mi się udawały, zjednały mi serca kolegów, którzy nieraz tajemnie jałmużną wspierali mię biedaka. Razu pewnego profesor matematyki wywołał mię do tablicy. Jak zaczęłam demonstrować i głośno dowodzić, cała klasa pękała, a i sam p. profesor. Zdziwiło mię to i pytam się profesora, czyli nie błądzę, że się śmieją koledzy?

— Nie, nie, bardzo dobrze pan dowodzisz. Tylko tak nie krzycz.

— Przepraszam — rzekłem — bo mię natura obdarzyła silnym głosem.

Odtąd opinia publiczna, a mianowicie koledzy mieli o mojej zdatności pewne zdanie i już mi niektórzy z kolegów nadskakiwali i prosili o uczenie ich matematyki. Było to dla mnie pożądanem. Zości kolegami wszedłem w ugodę, że mi za naukę z dobrym postępem dadzą dwojaką zapłatę, a za naukę bez postępu pojedynczą, t. j. po 5 fl. i dali mi zadatek. Zaraz za te pieniądze kupiłem sobie buty i czamarkę na tandecie, a biały kapelusz dostałem w prezencie. Byłem przez ten ubior znany w całej akademii, ile, że w owym czasie w czamarkach nie chodzono, a białe kapelusze do czamarki granatowej trąciły spiskiem. Im bardziej z kolegami pracowałem, oświecałem ich, rozpowiadając w wolnych godzinach dzieje i męczeństwo narodu, lub recytowałem im wiersze, tem bardziej wzrastało ich przywiązanie i szacunek ku mnie. Już mię poznał i jeden i drugi profesor i nastręczyli mi lekcye. Miałem już miesięcznie do 15 fl. a w. co było bogactwem na owe czasy. Już mogłem sobie sprawić na zimę watowany surdut, buty zimowe, bieliznę i obiad w traktyerni. Martwiło mię to, że nie mogłem się doczekać mojej pościeli ze Lwowa, a dopiero przez policyę lwowską, przysłano mi kołderkę i jakąś starą, podartą poduszkę, bo uczciwy koleżka we Lwowie, u którego zostawiłem pościel, sprzedał ją żydkom; zasmuciłem się, bo tyle miałem pamiątki z domu rodzicielskiego. Trzeba się było o nową pościel postarać, ale i do tego mi Bóg przez dobrych ludzi dopomógł.

Pewnego dnia wychodząc ze szkoły, powitała mię dziewczynka młodziutka, rezolutna, temi słowy; „pan jesteś Bukowski, czyli który inny? bo mamie mojej polecono pana Bukowskiego za dyrektora do mego braciszka. Mama mię wyprawiła, abym pana wyszukała i sprowadziła do nas. Już kilka razy zapędzałam się do tej akademii, alem się wróciła, bo panowie studenci drwili sobie ze mnie i śmiali się, a ja musiałam uciekać. Ale mama koniecznie dziś wyprawiła mię po pana; chwa-

Sejm krajowy.

Nie przywykli obwijać nic w bawełnę, jak się to mówi, zmuszeni jesteśmy powiedzieć prawdę, iż obecna sesya sejmowa nie budziła i nie bu dzi tego zainteresowania w kołach szerszych, jak to się objawiało jeszcze aż do końca ubiegłej kadencyi. Rok po roku zamiast chociaż tylko marzeń o czemś lepszem dla doli kraju, nastręczają się tylko coraz smutniejsze obrazy. A chociaż każdy sejm stanowi ważną i poważną chwilę w kronice każdego kraju i narodu, u nas co rok pojęcie to i wrażenie słabnie, upada coraz więcej. A jakby z tem w parze, to i gremium posłów już się oswoiło nawet z koniecznością powagi, czyli dniem solennego otwarcia sesyi sejmowej. Otóż i w tym roku szczególnie podczas zagajenia pierwszego posiedzenia w Izbie, zaledwie p. marszałek i jeszcze kilku tylko posłów uznało za właściwe przybrać się w strój poważny polski. I namiestnik dla zaznaczenia tego momentu wystąpił w świetnym mundurze. Co zaś do reszty posłów, kilku się tyl ko zjawiło we frakach, a reszta w codziennych surdutach, lub w bardzo wygodnych żakietach.

Nie należymy do tych, dla których świecenie strojem imponuje; ale już sama tradycya Sejmu, czyli dzień otwarcia tegoż, wymaga koniecznie większej powagi i nastroju, którą się zawsze spotyka nietylko w państwach monarchicznych, ale nawet tam, gdzie naród przedstawia republikę, rzeczpospolitą. Izba sejmowa w dzień otwarcia sesyi, nie jest salą giełdową, lub zgromadzeniem ludnem; bo nawet każda poważniejsza Rada miasta zachowuje decorum powagi. Jeżeli pp. posłowie są wybrańcami kraju i na tę godność wyniesieni zostali przez swych współobywateli, to winni ich reprezentować z poczuciem większej powagi, gdyż Izba sejmowa nie jest żadną „Geschäftshalle“. Wystąpienie zaś w takiej formie, jaka była widoczna, uważamy za ubliżenie tym, których Monarcha powołał na czele sejmu.

Może być, iż się znajdą tacy, którzy zdanie nasze uważać będą za śmieszne i nie licujące z postępem czasu. Tym odpowiadamy, że mają słuszność, bo rzeczywiście, z takim postępem czasu, jaki się obecnie zaznacza w Izbie sejmowej, nie chcemy mieć nic wspólnego.

Kilka posiedzeń odbytych usprawiedliwia najzupełniej nasze twierdzenia i obawy szerokich kół obywatelskich poza sejmowych. Wprawdzie pp. posłowie przyjęli znowu na siebie role stronnictw, prawicy, centrum i lewicy; ale mało znajdzie się takich obywateli, którzyby ten podział brali na serio, gdyż różnic takich w Izbie sejmowej nie ma, pomimo najzręczniejszych usiłowań zachowania decorum, jakoby były. Wyjąwszy kilku posłów ruskich, nie ma żadnej opozycyi w Izbie sejmowej i trzeba być bardzo naiwnym, aby uwierzyć w jakiekolwiek udawanie, chociażby takiego p. Dawida Abrahamowicza, który wnioskiem wrzekomo swoim, a rzeczywiście przywłaszczaniem sobie tego, co wniósł jeszcze w r. 1866 poseł krośnieński Jarowiejski, o zaprowadzeniu opłat konsumcyjnych, dąży do wykonania jekiegoś manewru, i dla uzyskania popularności, dla innych zupełnie celów, udaje niezadowolonego wobec rządu. W takie szermele żaden poważny człowiek, myślący i znający p. D. Abrahamowicza, nie chce uwierzyć.

W Izbie sejmowej znajduje się jeszcze 23. posłów, t. nazw., „dzikich“, a więc niby najskrajniejszych opozycyonistów. Są to jednakowoż osobistości tak łagodnego, wyrozumiałego i niewinnego charakteru, o czem zresztą reszta Izby wie bardzo dobrze, iż nie wzbudzają najmniejszej obawy, aby działalność ich mogła w czemkolwiek zamącić plany lewicy lub centrum. Panowie „postępowcy“, jeżeli się bawią w „dzikich“ lub ich udają, czynią to jedynie: — jedni dla miłego spokoju i aby nie zgasić aureoli przeszłości, lub też aby tym niewinnym oporem urzeczywistnić cele osobiste.

Jak ci panowie „dzicy“ są grzecznie wychowani, można się było przekonać podczas sprawdzenia wyboru posłów nowych, a mianowicie p. Zygmunta Kozłowskiego. Wiedzą wszyscy, co spowodowało usunięcie p. Kozłowskiego z przeszłej sesyi sejmowej, w jakich warunkach i przez kogo został powtórnie wybrany. Pomijamy nawet to, że p. Zygmunt Kozłowski przeprosił się z p. dr. Mi kołajem Zyblikiewiczem. Ten ostatni fakt był ich sprawą osobistą i zapatrywań osobistych. Ale po za tem pozostał jeszcze Marszałek sejmu i obowiązek posłów zaznaczenia, jak się zapatrują na postępek posła Zygmunta Kozłowskiego, względem marszałka. To było obowiązkiem szeregować się duchem, aby w jak najliczniejszym zastępie zaprotestować przeciwko temu wyborowi. Że sprawa ta była w Izbie poufnie bardzo energicznie omawianą, na to moglibyśmy dostarczyć licznych dowodów.

I jakżeż sobie ta wrzekoma opozycya postąpiła? Oto gdy p. marszałek poddał pod głosowanie wybór p. Zygmunta Kozłowskiego, p. hr. Alfred Potocki nie czekając nawet ostatnich słów formułki, podniósł rękę do góry, a za nim kilkunastu jego politycznych przyjaciół. Znaczna większość nie podniosła wprawdzie rąk, ale — nie zdobył się na cywilną odwagę nawet „najdzikszy“ z lewicy, aby zażądać kontrapróby. Że tego nie żądał p. marszałek, pojmujemy najzupełniej, ale czem się usprawiedliwi cała opozycya?

Wprawdzie nie tylko pisma krajowe, ale warszawskie i poznańskie nie taiły się z swem zapatrywaniem na powtórny wybór p. Kozłowskiego. Lecz widocznie znane „Schwamm darüber“ stało się u nas w Galicyi jakby sakramentalnem hasłem dla tych wszystkich wrzekomych przodowników, dla których losy kraju przedstawiają arenę giełdową dla własnych interesów. Byli wprawdzie tacy naiwni, którzy twierdzili, że p. Kozłowskiemu idzie tylko jedynie o wybór ponowny i ta rehabilitacya mu wystarczy, lecz następnie mandat złoży i do Izby sejmowej nie wnijdzie. Pokazuje się jednak inaczej, gdyż p. Kozłowski i jego przyjaciele polityczni nie zwykli się bawić w sentymentalność i tkliwość warunków honoru obywatelskiego. — „Górą nasi“, — oto ich jedyne hasło; a jacy to nasi, o tem wie nie tylko kraj, ale cała Polska.

Jak dalej pójdą sprawy w Izbie sejmowej, przewidzieć nie trudno, interesa osobiste i zdobycze pójdę jak z płatka. Pomiędzy innymi, wiadomo już naprzód, że tak samo jak p. hr. Antoni Golejewski został znowu wybranym na prezesa komisyi petycyjnej, tak też niezawodnie hr. Scipio del Campo wybranym zostanie na członka Wydziału kraj., na miejsce ś. p. Waleryana Podlewskiego i to jedynie dla tego, aby znani siłacze, którzy stanęli wyżej ponad wszelką opinią kraju, skoncentrowali wpływy swe do najzupełniejszej harmonii.

Stanowisko to tak ważne należałoby oddać według sprawiedliwości boskiej i ludzkiej, któremu z braci Rusinów, lecz to są tylko zachcianki z szerokich kół ludzi sumienia, ale stojących po za Izbą sejmową; bo nawet „familia“ p. Matkowskiego, który upadł przy wyborze w stanisławowskiem, aczkolwiek ciężko dotknięta swem niepowodzeniem w popieraniu kuzynka, i wyrobieniu mu „kawałka chleba“ dostatniego, pójdzie tym razem solidarnie ze swymi prawdziwymi przyjaciółmi politycznymi.

Jeżeliby się zaś stał cud i wybrany został Rusin, to taki, który ani u Rusinów, ani u Polaków nie będzie wzbudzał jakiegokolwiek zaufania. Że tej słuszności i braterskiego równouprawnienia nie złoży Izba w ręce tak szanownego posła, jakim jest Romańczuk, to nawet łudzić się byłoby zbytecznem. P. Romańczuk dopuścił się albowiem strasznego grzechu, przemawiając podczas otwarcia Izby w następujący sposób:

„Już drugi raz podczas tej kadencyi przychodzi nam zauważyć przykrością, że przy otwarciu Sejmu ani ze strony reprezentacyi Wys. rządu, ani od Prezydyum tej Wys. Izby nie słychać ani jednego ruskiego słowa. A przecież Sejm nasz radzi na ruskiej ziemi; a przecież ruski naród jest drugą główną narodowością naszego kraju i ruska mowa ustawami konstytucyjnemi równouprawnioną; a przecież w tej Wys. Izbie zasiadają i Rusini: dostojnicy duchowni, jako członkowie sejmu i posłowie, przedstawiciele ruskiego narodu; a przecież w naszych krajach koronnych o mięszanej ludności, sejmy bywają otwierane przemowami nietylko w jednym krajowym języku! Nie chcieliśmy podnosić tej sprawy od razu publicznie, ale jeżeli prywatna wzmianka okazała się daremną, zmuszeni jesteśmy w tej Wys. Izbie przypomnieć, że w naszym kraju jest i ruski naród, a w naszym sejmie i ruscy przedstawiciele tego narodu!“

A jednak nawet uczciwa opinia publiczna polska śmie głośno twierdzić, że żądanie posła Romańczuka było tak słuszne, jak odprawianie nabożeństwa na pomyślność Sejmu w katedrze łacińskiej i cerkwi gr. kat.

Słyszeć można coraz częściej w nader poważnych gronach stawiane pytania, jak się to dziać może i na czem się opiera, że znane z postępowania swego stronnictwo prawicy w Sejmie i w Radzie państwa, zdobywa sobie tak szczególne zaufanie u Rządu? Otóż osoby, które zasługują na wiarę, twierdzą, że ci wrzekomi wpływowi matadorzy usiłują przedstawiać w najwyższych sferach ruch kraju społeczny i polityczny w sposób tak niekorzystny a nawet groźny, w

---

na Bogu, żem szczęśliwie natrafiła, bo żeby nie ten biały kapelusz, tobym nigdy nie znalazła pana. O! jak się mama będzie cieszyć, żem pana przecież raz złapała; a już nie puszczę, nie ustąpię się. Przepraszam, bardzo ślicznie proszę, choć pan ze mną.“

Mowiąc szczerze, dziewczęcia prośba zniewoliła mię pójść za nią i poznać jej mamę, która do sprowadzania mnie nieznajomego tak naglła córkę swoją. Już nie pamiętam tych szczebiotliwych rozmów dziewczęcia po drodze; tyle tylko wiem, że mi wielkie pochlebstwa i obiecanki sypała i szczerze uradowana była, że jej towarzyszę. W tym dyalogu przeszliśmy rynek i skręcili na ulicę, prowadzącą do cerkwi, gdzie stojąc w bramie domu mamuńcia wyglądała za powracającą z posełstwa córką. Gdy nas ujrzała, krzyknęła:

— A, chwała Bogu że p. Bukowski posłuchał mojej Hanusi i przyszedł do nas. Dziękujemy, dziękujemy szczerze za tę grzeczność. Już tyle od studentów nasłuchałam się dobrego o p. Bukowskim, że postanowiłam nie przyjąć innego dyrektora do mego Stefańcia, tylko pana, a mój mąż zupełnie na mnie polega. Choć no tu Stefciu, widzisz, będziesz miał dyrektora porządnego, żebyś słuchał i dobrze się uczył. Proszę, proszę do pokoju.

Zadziwiony tem szczególnem przyjęciem i tą serdeczną szczerą mową, poznałem zacne serca matki i córki. Nadszedł i pan Kiełbaśnik, gospodarz domu i wkrótce poznałem jego prawy charakter. Za mieszkanie, pranie i 2 fl. m. k. przyjąłem obowiązek uczenia chłopczyka czytać, pisać i t. p. nauk. Właśnie takiego domu sobie życzyłem do zamieszkania przez czas studyów, gdzieby się o mnie troskano, gdziebym się uczył i w wolnych chwilach pobaraszkował z uczciwymi ludźmi, a mianowicie, gdziebym był sam i nie miał przeszkody do nauki.

Mamcia brunetka, średniego wzrostu, wesoła i zdrowa kobieta, prawdziwa Polka, nie cierpiała Niemców, bo musieli wysoką akcyzę opłacać. Córce te same uczucia wpoiła. W tem uczuciu ze mną się zgadzały. A gdy nieraz przy kominku w obecności męża, rozpowiadałem dzieje narodu i jego męczeństwa, to płakały jak bobry; a takie łzy i uczucia hartowały mię i ich w cnocie obywatelskiej. Ale była to mowa po cichu, skryta, aby ściany nie słyszały. Jak u własnych rodziców, tak mi było tam błogo. Spokój, cisza i przywiązanie szczere, uszczęśliwiały mię i dodawały do nauk zachęty. Młodziutka Hania szczebiotała wieczorami lub w południowej godzinie, spędzając resztę czasu w sklepie u modniarki, gdzie się uczyła tego kunsztu, ale i o mnie pamiętała. Zawsze u mnie najpiękniejsze kwiateczki w wazonach, a często bukieciki z ogródka, to znowu jabłuszko, gruszeczki lub inny owoc czekał mię na talerzu. W niedzielę lub święto kiełbaska, salceson lub szyneczki kawałek na śniadanie i t. p. Izdebka moja zamieciona, otarty stolik z kurzu, a łóżko nawet nie moim pokrywadłem przykryte. Słowem, był to anioł, który się mną opiekował. Sądziłem z razu, że to mamuńcia, aż raz zastałem krzątającą się córunię, która upiekłszy raczka, uciekła przepióreczka z pokoiku mego. Sam na sam nigdy nie moglibyśmy być, raz że mamuńcia strzegła i ojciec na przemian, a powtóre, że nie byłem skory do miłostek. Byłem grzeczny, ale bez trzpiotowstwa lub poufałości do mamy i corki. Bałem się jak ognia — rozkochania; myślałem o nauce, a zetknięcia z miłością lękałem się jak cholery. Dlategoteż może matka tak mię szanowała; ze strony córeczki było może coś więcej, ale to ignorowałem.

Uczyłem chłopczyka, a ten robił dobre postępy i dobrze się prowadził, co rodziców i siostrzyczkę niezmiernie cieszyło.

Razu pewnego, w tym domku, gdym wracał z lekcyi, zastałem całe grono panienek z modniarka na czele, wesoło szczebiotających, śmiejących się. Ukłoniłem się przez okienko wyglądającym i wszedłem do mego pokoiku. W tem wchodzi mamuńcia i prosi mię do siebie między panny, bo powiada po cichu, chcą pana poznać, tyle im Hanusia o panu nagadała. Cóż było czynić, chociaż nie śmiało, wstąpiłem po uszy zaczerwieniony. Panny raczki popiekły. Starsza i śmielsza panna modniarka wypaliła mi kilka komplementów, które powtarzały inne i zapraszały, aby ich odwiedzać w sklepiku, „bo rozmowa z panem B. byłaby nam bardzo miła i pożądana.“

Odpaliłem pannom, że wypada mi choć raz wstąpić do towarzystwa panieńskiego, w tym sklepiku „pod gruszką“, ale więcej lękam się, jak zaklętego kota, siedzącego na skarbach. Panny byście mi głowę zawróciły, a moja nauka uleciałaby jak kamfora. Dotrzymałem słowa. Częste prośby i zapraszania na wieczorki, na bale, na nic się nie zdały. Ja ubogi student, uczyłem siebie i drugich, unikałem panien jak węża kusiciela.

takich jaskrawych kolorach, że tylko ich tytanicznym usiłowaniom należysię zasługa, że ustrzymują wszelkie szkodliwe żywioły w karbach, wszelkie zaś inne stronnictwa przedstawiają jako niebezpieczne. Byłby więc zdaniem naszem wielki czas, aby tym sprawom i tym twierdzeniom bliżej się przypatrzyć i zbadać takowe, oraz przekonać Rząd, że wrzekome stronnictwo jeżeli ma jakie wpływy, to takowe zdobywa tylko za pomocą najszkodliwszej demoralizacyi, oddziaływającej zabójczo na byt kraju; że prędzej czy później taka demoralizacya musi doprowadzić do niebezpiecznych rzeczywiście objawów; i wtenczas się dopiero pokaże, że wpływów tych stronnictwo to nieposiadało, że na spokój w kraju i na niedopuszczanie jakichkolwiek szkodliwych prądów, czy to rodzących się wewnątrz, czy też wkradających się zdala, — oddziaływają zupełnie inni ludzie i inne warstwy społeczne, które są zupełnie świadome tego, co by kraj czekało, gdyby się takie prądy u nas zagnieździły. Jeżeli zaś zapanowuje jakie chwilowe rozgoryczenie, to przyczynę ku temu daje właśnie to stronnictwo, które usiłuje wmawiać w Rząd, że ono pilnuje argusowem okiem i utrzymóje pokój w kraju,

Dzisiejsze wiadomości z Izby sejmowej kończymy na tem, że sesya ta wzbudza nietylko najprzykrzejsze wrażenie, ale budzi obawę o jeszcze cięższą dolę.

Nekrologia.

Dnia 22. Listopada b. r. odbył się pogrzeb ś. p. **Leona Sas Kuleyckiego**, legionisty z r. 1848|9 i żołnierza wojsk polskich z 1863. Nad grobem jego wygłosił mowę pożegnalną towarzysz broni i przyjaciel zmarłego p. d'Hauterive, którą dla wielce patryotycznej treści i ku pamięci zmarłego podajemy w całości:

„Są ludzie, których cały żywot przemknie po świecie, jak pyłek wyrwany z kielicha kwiatu, niesiony huraganem wiatru, nie spostrzeżony przez nikogo, a mrówcza ich praca nie zwraca uwagi przechodnia na pożyteczność swej działalności.

Taki to cały cichy, a wielce pożyteczny, był żywot ś. p. Leona, nad którego rozwartą mogiłą tutaj stoimy.

S. p. Leon urodził się w r. 1833, z szlacheckiej, lecz majątkowo podupadłej rodziny. W 13. roku swego życia, kiedy zaledwie zaczął początkowe nauki pobierać, nieubłagana kosa obłędu ludowego, używając słów wieszcza naszego: „z dymem pożarów z kurzem krwi bratniej", rozlanej na ziemi ojczystej, w r. 1846, — ścina mu ojca.

W takiej strasznej chwili dla każdego, komu Bóg nie dał urodzić się w siermiędze, biedny sierota sam jeden, znalazł się na świecie bez najmniejszej opieki i przyjaciół, a nawet znajomych. Zbyt słaby fizycznie, bo był już od urodzenia szczupłej konstytucyi, aby zarobić pracą rąk na kawałek poszedniego chleba, silny był natomiast już wówczas wiedzą miłości Ojczyzny, rozbudzonej czy to piosnką, nuconą mu nad kolebką przez matkę, czy też pieśnią starego lirnika, którzy wówczas po upadku powstania listopadowego zachodzili pod strzechy szlacheckie. Pojął, że aby być prawym synem tej ziemi, potrzeba pracować, postanowił więc tę malutką wiedzę jaką posiadał, spożytkować, ucząc drugich i przyjął ofiarowane mu miejsce nauczyciela. Aby podołać temu zadaniu, uczył się sam po nocach całych, by nabytą wiedzę nazajutrz udzielić swoim wychowańcom.

Mozolna to była walka, ale duch jego w niej nie upadł, przeciwnie — spotężniał, nabrał pewności samoistnej, niepodległej, której już zapragnał nie dla siebie, ale dla całej ludzkości.

Na pierwsze też hasło wybuchłej walki o niepodległość Węgier, z którą to wówczas zdawało się, że związane losy niepodległości Polski, młodziuchny Leon porzuca stanowisko zapewniające mu byt, i o żebranym chlebie, z chaty do chaty, przez manowce leśne, piechotą, o chłodzie i głodzie, dostaje się przez Karpaty do Węgier, a tam pod sztandarem polskim odbywa chlubnie całą kampanię i dosługuje się stopnia oficera. Po upadku powstania węgierskiego wraca do kraju, lecz tu wtrącony do więzienia, a następnie zasądzony do kompanii karnej wojska austryackiego, gdzie przechodząc wszelkie szczeble awansu, dosługuje się stopnia oficera. Osiągnąwszy go, nie szuka karyery w zawodzie, niezgodnym z ówczesnem jego pojęciem patryotycznem, lecz bierze dymisyę i powraca do pierwotnego zawodu nauczycielskiego.

Nie długo jednak zażywa spokoju. Na pierwszy jęk boleści wydany z serca Polski, wskutek popełnianych mordów, na ulicach Warszawy, bierze czynny udział w organizacyi narodowej, a na pierwszy odgłos trąby bojowej, zwołującej swe dzieci ku wspólnej obronie ukochanej matki ojczyzny, dla zrzucenia jarzma despotycznego caratu, ś. p. Leon jeden z pierwszych staje w szeregach narodowych. Tu go widzimy w pierwszym szeregu z pieśnią na ustach „Boże coś Polskę" w czasie ataku, a słowem pociechy i zachęty w czasie chwilowego spoczynku.

Po bezowocnem wysileniu zrozpaczonego narodu, po nadludzkich wysileniach bohaterstwa, które wrogów nawet naszych zdumiewało, a o którem dzisiejsze pokolenie wyobrażenia nawet mieć nie będzie, kto nie poległ na placu boju, musiał ustąpić, a jednym z ostatnich ustępujących, bo już w r. 1864., był ś. p. towarzysz nasz broni, tu spoczywający Leon.

Po tej strasznej klęsce narodowej, silny dotąd duch ś. p. Leona zachwiał się, lecz Bóg nie dał mu upaść, dając mu za towarzyszkę życia, najzacniejszą małżonkę.

Tu się zaczyna i kończy przez peryod lat 20. okres mrówczej pracy ś. p. Leona, który każdem źdźbłem okruszyny nakarmia pierwej swą żonę i dziatwę, nim ją poniesie do ust własnych, a peryod ten lat 20. ciężkiej pracy, w najwyższej miłości i zgodzie rodzinnej, minął jak dzień jeden. Straszuym też gromem dla rodziny i tych co go bliżej znali i ocenić potrafili, była wieść przedwczesnej śmierci jego.

Zawcześnieś nam zgasł Leonie! Żal za Tobą jest wielki, ale niesiesz z sobą do grobu tę pociechę, że zostawiasz nam przykład cichej a użytecznej pracy, nadzwyczajnej miłości ojczyzny, a ziemia ta, którąś tak gorąco ukochał, pewnie ci lekką będzie!

Jerzy Bułharyn, b. pułkownik b. wojsk polskich, następnie w r. 1848 jenerał węgierski, zmarł dnia 29. z. m na wyspie Jersey w 87 roku życia. Warszawskie *Słowo* takie o zmarłym zamieszcza wspomnienie: „Udział jego w wojnie węgierskiej był bardzo znaczny i wybitny, a jen. Bułharyn wydał nawet przed laty obszerną książkę, opisującą przebieg owej kampanii. Po upadku powstania węgierskiego, Bułharyn emigrował do Paryża, a następnie osiadł na wyspie Jersey, gdzie też życia dokonał, doczekawszy się późnego wieku. Ze starej rodziny litewskiej, jen. Bułharyn ożeniony był z Karoliną z Rogalskich na Podolu. Potomstwo miał liczne, a jedna z jego córek, Jadwiga, zamężną jest za p. Kremerem v. Annenberg, b. ministrem austryackim, który przed paru laty piastował tekę ministra handlu w gabinecie hr. Taaffe. Zapomniany przez rodaków emigrant węgierski, nie chciał już czy nie mógł, po zmianie stosunków w Węgrzech, wracać do kraju, za niepodległość którego walczył. Pędził też niezmiernie cichy i spokojny żywot na wyspie Jersey, doczekawszy się sędziwej starości. Cześć pamięci dzielnego wojaka".

POTOMSTWO ZOILA.

Pod tym tytułem podaje „Przegląd tygodniowy" warszawski szereg obrazków charakterystycznych ze świata literackiego i artystycznego. A że p. Z o r j a n (Sedlaczek) znany jest i u nas, gdzie niedawno temu swe wykształcenie literackie zdobywał w „Dzienniku dla Wszystkich", a zanim uskutecznił wyprawę po laury do Warszawy, posyłał do tamtejszych pism korespodnncye ze Lwowa, akompaniując pod względem prawdy i uczciwości p. Fryling Frühlingowi, podajemy co o nim piszą w Warszawie:

„Pan *ZORYAN* (pseudonim).

Jest faktem dowiedzionym, że najłatwiejszą rzeczą pod słońcem jest krytyka — naturalnie nie ta analityczna lub syntetyczna, słowem poważna, ale ta tuzinkowa, codzienna, — łokciowa.

Pierwszym jej warunkiem jest nieumieć nic, być koniecznie nuiwnym a rozum krótki sztukować grzywką, bladością cery, która ma pewien interesujący charakter i jakim tuzinem port-bonnerów, świętości, szkaplerzy, etc., które są talizmanem przeciwko pokusom szatańskim.

Krytycy tego pokroju od niedawna dopiero stali się okazowemi egzemplarzami na naszym warszawskim bruku — a jeśli jeden z tych okazów wprowadzamy do światła, to tylko dlatego, aby ukazać mizeryę ludzką, która im jest naiwniejszą, tem się pnie wyżej i tem więcej nadyma.

Nie wyciągamy też do światła osobnika, który co prawda, na rozbiór i sylwetkę niezasługuje, jako pojedyńczą jednostkę, ale jako ten typ przeciętny, podobny do owego grzybka na drzewie, jaki cor... więcej swoje korzonki zapuszcza i bezkrwistością sw... ją, oraz ogromnie lekkim mózgiem, zakaża atmos... poważnej pracy i nauki poważnej.

Musimy tedy na tem miejscu znów powrócić do kwestyj owych importowanych rozumów, które mają taki związek z rozumem istotnym, prawdziwym, jak piernik z wiatrakami. Ludzi prawdziwej gruntownej nauki potrzeba nam i bardzo, ale te zabagniające osobniki wodą, lub co gorsze jeszcze, pomyjkami swego krytycyzmu naszą prasę, są takim złym objawem, iż obawiać się należy, czy jaka epidemi...

Oszczędziwszy kilkanaście złr., pomyślałem o pościeli. W tym celu poprosiłem „mamunci", — tak ją nazywałem, aby mi się raczyła wystarać gdzie pierza na poduszkę. Jakaż była dla mnie niespodzianka, gdy po niejakim czasie odebrałem poduszkę wraz z poszewką ze wstawkami, a nadto jeszcze śliczną nową poduszeczką skórzaną, przewyższającą wartością te pieniądze, które dałem na zakupno pierza. Było to jakoś na same święta Bożego Narodzenia. Wnet sprawiłem sobie i piękną tybetową kołdrę, do której się także zacna mamuńcia przyczyniła, niby w nagrodę mojej pracy.

Już to jak się komu zacznie wieść, to się wiedzie, a jak nędza zacznie lać do domu, to oknami i drzwiami. Muszę nadmienić, że i opłacenie wiktu w studenckiej traktyerni, jak na owe czasy niby tanie, a jednak drogie, skąpe i nieczyste, nieznośnem dla mnie było. Lecz i tam mi się nasunęła dobra przygoda. Syn francuskiego metra, dobrze się mającego, od kilku tygodni kłopotał mi głowę, abym się sprowadził do niego i uczył się wspólnie matematyki. Ale mię przestrzegano, że to lekkomyślny chłopiec i uczyć się nie będzie, a potem, gdy złe otrzyma klasy, wymówki ci ojciec będzie czynił. Dla tego ociągałem się i nie chciałem tego obowiązku przyjąć. Młodzieniaszek jednak nagabywał mię często i nakłonił mię, żem się ojcu jego przedstawił i za przyrzeczeniem synalka, że się zechce szczerze chwycić nauki, przyjąłem korrepetycyę z razu osobno, a potem wspólnie z innymi w matematyce. za co mi ofiarował stół, czyli wikt, a ten był wyśmienity i porządny. U tego to metra wyuczyłem się po francusku i po włosku, oraz doznawałem różnych względów. Tak więc położenie moje znacznie się polepszyło. Za łaską Boga byłem w możności i rodzicom coś przesłać, a samemu się porządnie ubrać. Słowem byłem zabezpieczony. Ale dopiero ta radość dosięgnęła najwyższego szczytu, gdy przy egzaminach posypały się eminencye jedne za drugiemi, gdy moi koledzy wszyscy dobrze pozdawali matematykę, a szczególnie syn metra dobrze zdał egzamin.

Ojciec jego nie posiadał się z radości, wysoce mię cenił, a w dowód wdzięczności wziął mię z sobą na bal, który towarzystwo strzelców wyprawiło. Pierwszy raz byłem na balu, pierwszy raz ubrano mię we frak i pierwszy raz nie ja panny, ale panny mię ciągnęły do tańca. Ale jaki był ich zawód, gdy wbrew im oświadczyłem, że nigdy w życiu nie tańczyłem, nie umiem i nie będę tańczył. Nalegały, prosiły i gniewały się Ja nigdy nie tańczyłem w życiu, nie strzelałem i nie jeździłem na koniu. I tak mi mile upłynął rok 1837., a mogę mówić, że rok ten był szczytem mego ziemskiego błogosławieństwa i szczęścia.

Byłem poetą; doznawałem publicznej czci i poszanowania. Marzyłem o przyszłości, ale wnet to marzenie miało prysnąć jak bańka mydlana.

Drugie półrocze również przeszło pomyślnie; otrzymałem celujące klasy, byłem pierwszym. Było nas na loice, czyli pierwszym roku 82. Między tymi połowa Polaków i Rusinów, trochę Niemców, reszta Wołochów. Wołosi odszczepieńcy nie łączyli się z nami, tworzyli osobną koteryę; to samo Niemcy. Polacy zaś i Rusini tworzyli jedność i braterstwo.

Już i w stolicy Bukowiny zaczęły się między uczącą się młodzieżą szerzyć idee demokratyczne, ale w skrytości. Księgarz Dobrzański dostarczał materyału. Szpiegów nie było i policya ni... śledziła młodzieży, szczególnie polskiej. Dopiero gdy w Samborze uwięziono młodzież za czytanie polskich książek w Paryżu drukowanych, za p... niesienie głosu, że chcą być Polakami, gdzie ich konsyliarz Zajączkowski mordował, zaczęto uważać na schadzki młodzieży. Wpadano do księgarni i konfiskowano książki polskie i t. p. dopuszczano się gwałtów.

Czerniowce spały, młodzież się bawiła, profesorowie pili, tylko garstka czuła i myślała; do liczby tych i ja należałem.

Po wakacyach wziął mię kolega, baron Petrino do siebie, i razem z nim korepetytowaliśmy fizykę. Co to był za przedmiot, ta fizyka, szczególniej w Czerniowcach, ten tylko opowiedzieć zdoła, kto był w Czerniowcach. Szczególny ten przedmiot na zabicie ducha nietylko polskiego, ale i niemieckiego, był ułożony przez Baumgartena. Trzy duże tomy, wysoką niemczyzną napisane i tak nie zrozumiałe, że Wierzbowski, profesor fizyki w Czerniowcach, z różnych pism i książek dodał drugie tyle pisemnych notat, a do tych notatów notatki. Słowem, była to cała biblioteka, chaos wyrazów technicznych, bez możności wyrozumienia i sensu. Nie było też młodzieńca tak wysoko utalentowanego aby był wstanie tej gmatwaniny wyuczyć się na pamięć i być pewnym, że go Dr. Wierzbowski n... uchwyci; a Dr. Wierzbowski umiał chwytać, ra... że jak rabin talmud, tak on tę fizykę drukowaną spisaną z „Anmerkungami" i „Superanmerkungami" umiał na pamięć, — powtóre, że tak subtelnie zadawał pytania, iż młodzieniec ogłupiał od razu

wkrótce powstała z tych grzybków i miazmatów, niezanieczyści nam powietrza i ostatecznie tu i owdzie objawiające się zdrowie nie podkopie.

Możnaby powiedzieć, że u nas pojawił się typ krytyków a la pan Zoryan, który do tak zwanych prac swoich posiada swoją specyalną metodę — podobną do patrona na ścianę, jakiego używa malarz pokojowy. Patron ten przedstawia się w postaci następującej recepty: „bierze się książkę, podaje się jej treść, a w końcu parę banalnych utartych frazesów, odpowiednio do tego, czy redakcya tego lub owego pisma posiada sympatye lub antypatye dla autora i dzieli z nim lub nie — pewne przekonania. Im idyotyczniejsze frazesy, im typ takiego piszącego krytyka więcej nadęty, tem posiada większe kwalifikacye do drukowania banalnych rozpraw w poważniejszych pismach. Analizując tego rodzaju okaz, można z góry określić jego curiculum vitae, dążenia i wszystkie charakterystyczne cechy, jakie naprzykład kreśli zoolog przy opisywaniu danego zwierzęcia. A więc: 1) powierzchowność — wedle odwiecznego zdania myślicieli szyku i pschutu jest pierwszą podstawą karyery, bo jak cię widzą tak cię piszą, powiada przysłowie wszystkich narodów. Zatem jeśli zobaczysz młodzieńca z pakunkiem idącego z dworca kolei żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, w niebieskiej kamizelce ze stojącym kołnierzykiem, z wylizaną na czole grzywką, z okiem melancholijnie zwracającem się do każdego spotkanego osobnika rodzaju żeńskiego, możesz powiedzieć sobie: „to nasz współczesny importowany krytyk“; 2) jeżeli zajdziesz następnie w czasie wielkiego postu do którego z kościołów, a ujrzysz w szeregu klęczących i odprawiających rekolekcye młodzieniaszków, takiego pschuta, wznoszącego tym razem oczy zblazowane ku obrazowi, jeśli zobaczysz, iż się tak bije w piersi, że odgłos tych uderzeń dochodzić musi aż do potężnych tego świata, to znów sobie powiedz: „to nasz współczesny importowany krytyk“; 3) jeśli przypadek zapędzi cię do jakiej redakcyi, a ujrzysz tam znów młodzieńca w grzywce i niebieskiej kamizelce, rozpowiadającego o tem, że jest pierwszym krytykiem po panu hrabi, brabiowie zawsze mają w jego oczach respekt na orbicie ziemskiej, to znów sobie powiedz: „to nasz współczesny importowany krytyk“; 4) jeśli znów bogi poniosą cię do sfer teatralnych, jeśli przy jakiej aktorce, aktoreczce, czy choćby jakiej wyposażonej mamie lub cioci teatralnej, ujrzysz znów młodego człowieka, zgiętego w znak zapytania i nachylisz ucho, aby usłyszeć jego rozmowę, dowiesz się, że ten osobnik, jeśli jest arcygrzecznym, posłusznym, potulnym dla hrabiów, jest również uprzejmym dla każdego napotykanego osobnika również, bo niewiadomem mu jest na co i kiedy przydać mu się może, a być ze wszystkimi dobrze, jest to jego stałą i zasadniczą maksymą życia. Gotów kłaniać się nawet rewerberom od latarni, stróżowi otwierającemu bramę i lokajowi podającemu palto w przedpokoju jakiegoś panka czy półpanka.

To typ ogólny — pomimo jednak tej giętkości w kolanach i karku, pomimo bladości oblicza, będącego świadectwem ascetycznych poglądów, pomimo port-bonerów, dowodzących silnej wiary i w końcu pomimo tej generalnej uprzejmości, która pozwala palić świeczkę i Panu Bogu i dyabłu — osobnik taki zajeżdża wszędzie w tryumfalnym wozie własnej blagi, ale wyjeżdża na szybkim wprawdzie, ale jednokołowym bicyklu i kończy zawsze kolosalną klapą — wyrażając się językiem teatralnym.

Krytyki podznaczone takiem nazwiskiem, czy też takim pseudonimem przechodzą nieczytane, jako dyablo nudne i wiecznie na jedną i tęż samą pisane formę; nawet bractwo wzajemnej admiracyi — przez ramię spogląda na coś podobnego, a jedynym przytułkiem tych zapoznanych wielkości, stają się bractwa różańcowe, w których wprawdzie nie płacą od wiersza pewnego kwantum kopijek, ale dzięki którym można jesze dojść u nas do pewnego społecznego stanowiska, do pewnej sinekury, ot, naprzykład do spełniania obowiązków dzwonnika przy arcy konfraterni literackiej.

Tyle co do zasadniczego typu, który jak powiedziałem, jest pewnego rodzaju cechą ogólną tego gatunku, trzeba przecież poświęcić jeszcze słówek parę temu, którego wypisaliśmy na czele niniejszej sylwetki.

Otóż pan Zoryan jest lwowskiem dziecięciem, ściągnął do Warszawy boć tu i lepiej od wiersza płacą i jakoś lepiej w tym mrowisku człek obracać się może. Z wiekopomnej pamięci prac tego męża, niepodobna pominąć milczeniem dzieła, które niezawodnie do potomności zaniesie jego imię, a które ukazało się na szpaltach *Kuryera porannego*. Była to recenzya o jednej komedyi, ale tylko o jednej, drugiej bowiem redaktor pisma niemógł już z zachwytem odczytać i umieścić ją w archiwum rękopismów przeznaczonych wprawdzie do rozgrzewania ludzkości, ale tylko najbliższej, siedzącej w redakcyi i potrzebującej kominkowego ognia, lub piecowego ciepła. Żal podobno w narodzie panował wielki, że tego ciepła tak było mało, z powodu tak homeopatycznej dozy materyału.

Po za tą jedną recenzyą teatralną, ukazało się jeszcze kilkanaście recenzyj rozmaitych powieści, mogących służyć za odstraszający przykład tym wszystkim, którzy nieumiejąc myśleć, chcą się brać do pióra. Ba, ba, były tam nawet przerabiane listy takiego geniusza jak Słowacki, no, zato liktorowie spółcześni winni ofiarować krytykowi pęk rózeg swoich, bo doprawdy, trudno posunąć dalej lekceważenia większego dla poważnej myśli, jakie się w tej niby pracy zaznaczyło ze strony krytyka, niemającego elementarnych krytycznych pojęć.

W końcu jedno z pism zapowiedziało, czy też już drukowało studyum o Irydyonie; — pod tem wszystkiem jednak co wyszło z pod pióra tego genialnego współczesnego importowanego krytyka, zapewne tylko brak szacunku dla nieśmiertelnego wieszcza z trójcy, może kogoś zmusić do czytania tej pracy. To co było wykwitem jego myśli długich, ma być sekcyonowanem przez człowieka, który abecadła zupełnie nie zna. Doprawdy, to trochę za gruby żart i za wielkie lekceważenie wieszcza. Może ono krew popsuć ludziom posiadającym najwięcej limfatyczne usposobiebienie. Mniemamy, iż sławny hrabia-krytyk dostał dreszczy na samą myśl o takiej dyfamacyi — i to jeszcze utworu, potrzebującego skończonego filozoficznego wykształcenia.

U nas jednak wszystko jest możebnem. Przyjdą też czasy, spodziewać się ich można nawet w niedalekiej przyszłości, że szewcy pisać będą o szyciu tużurków, fabrykanci parasolek o maszynach rolniczych, skoro patentowi młodzieńcy zabierają się do Irydyona. Pan Zoryan ma jednak jedną wielką zaletę, a tą, brak drażliwości na punkcie programów politycznych; w krytykach jego, najbieglejsza wprawdzie analiza chemiczna niewykryje gramu zdrowej myśli, ale zato stołek redakcyjny dziennika, w którym braknie ludzi, bardzo łatwo nim się wypełni i będzie robił z nim dobre wrażenie, ta niebieskość kamizelki bowiem doskonale harmonizuje z nogami owego narzędzia do siedzenia.

Mimo to wszystko jednak, nie możemy wątpić ani na chwilę, że w przyszłości, za dziesiątków parę lat, owe nogi stołkowe umieszczonemi zostaną w jakiemś mauzoleum narodowem — i że „współczesny nasz importowany krytyk“ — jeśli nie zaliczony zostanie do rzędu członków akademii umiejętności w Krakowie — to przynajmniej — do rzędu honorowych wielkości akademii krytycznej, która, jak donoszą najświeższe depésze, obecnie zakłada się w..........

Rębajło.

Ziemie polskie.

Owrucz gub. wołyńskiej. W sobotę, 12. b. m., według relacyi gazety *Wołyń*, zabito obywatela powiatu owruckiego Otmara-Steina, zięcia obywatela Dubowieckiego. Śledztwo sądowe jest w toku. Zabójcy włościanie przyaresztowani. Powiadają, że w dzień zabójstwa, Dubowiecki w lesie swoim (las kościuszkowski, pod wsią Kościuszkami), nadybał włościan samowolnie wyrąbujących drzewa. Zawiązała się zwykła sprzeczka i Dubowiecki udał się do domu do swego majątku, zkąd posłał zięcia swego Otmar-Steina, by pojmał złodziei. Otmar-Stein, człowiek atletycznej budowy, spodziewał się sam osobiście załatwić z włościanami. Ci jednak ostatni, rozdrażnieni przeciwko nieboszczykowi za wieczne sprzeczki i procesy, postanowili odpłacić mu za wszystko, zabijając go w sposób barbarzyński. Kiedy Stein zaczął odbierać od zabójców topory, zadano mu z tyłu w kark ciosy toporami i kijami dębowemi. Poraniony zaledwo się dowlókł do domu, do teścia Dubowieckiego, gdzie oświadczył, że go zabili włościanie i posłał po lekarza Byszewskiego i cyrulika. Ale zanim ci przybyli, Stein umarł. Nieboszczyk miał jakoby wyrzucać teściowi swemu Dubowieckiemu, że nie pośpieszył mu z pomocą, chociaż słyszał krzyk jego. Zwłoki nieboszczyka przywieziono 16. października do Owrucza. Zjechali się niemal wszyscy obywatele owruccy, aby towarzyszyć obrządkowi pogrzebowemu tego, który zginął śmiercią męczeńską w obronie cudzej własności.

Łuck. Korespondent gazety *Wołyń* podaje wiadomość o pożarze, który zniszczył starożytny zamek we wsi Horodcu w powiecie łuckim. Majątek ten, własność obecnie jenerała Kurdowa, należał przez długie lata do rodziny Urbanowskich, poczem w braku sukcesorów w prostej linji przeszedł do rodziny Starzyńskich, dziedziczących takowe po kądzieli. Zamek, budowa potężna rozmiarami i wspaniałością, liczył już kilka wieków i niemało zawierał pamiątek, które wszakże ze zmianą właścicieli, powoli niszczały. Niegdyś

---

nie wiedział, czego właściwie profesor żąda i czego chce, a takie niezrozumienie już było podstawą do kiepskiej klasy z fizyki. Po trzecie, że Dr. Wierzbowski miał szczególną rozkosz w tem, aby najbardziej utalentowanych lub odszczególniających się „pieczętować“ t. j. popsuć im klasy i awans. Warto się o tym szczególnym profesorze rozpisać i dać potomności poznać, jacy to nieuczciwi ludzie siedzieli na katedrach i pastwili się nad młodzieżą, jak się mścili na młodzieży, nie chcącej korzystać z ich korepetycyj, lub tymi, którzy profesorom chleb odbierali.

Wierzbowski szczególnym był profesorem. Małego wzrostu, z przymrużonemi oczyma, z siwemi brwiami, siwemi bakenbardami i z siwemi ślepiami. Starannie oblizany, uczesany, ochędożony wraz z swoim surdutem, z siwą czapką i z siwą laską, przychodził na prelekcye. Usiadłszy, obtarłszy nos i zażywszy tabaki, recytował słowo w słowo, jak zegar kuranta, kilka kartek z Baumgartena, nie opuszczając i słówka. Podziwiać trzeba było jego pamięć, która go i na starość, bo mógł mieć już przeszło 60 lat, nie opuszczała. Tak samo i medycynę umiał po łacinie na palcach. A nie wzywano go do chorego, chyba, gdy który pacyent nie mógł skonać i dlatego zwano go — „Todtenvogel“, t. j. ptakiem śmierci, bo tak samo jak puhacz zwiastował zjawieniem swojem do chorego, śmierć niezawodną.

Z wykształconą pamięcią monotonną, doktor ten prelekcyą swoją nudził okropnie młodzież i pobudzał do śmiechu. Żartowano z niego, kiepkowano, znieważano. Na żadną cześć i uszanowanie nie zasługując, musiał znosić tysiące nieprzyzwoitych żartów i obrazy, które do tego stopnia posuwano, że mu ktoś raz coś bardzo niewonnego na stole pozostawił, a drugi raz w kapeluszu. Gwizdano, tupano nogami, dzwoniono, brechano psim głosem, lub miauczono kocim i t. p. psikusy wyrabiano, aby go zmusić do porzucenia katedry. Ale gdzietam — bezczelny głupiec i podły, znosił przez kilka lat najgorsze poniewierki i obelgi, a nie ustąpił, aż się w te brudy najwyższa komisya nauk wmięszała i durnia odepchnęła.

Chcąc się zrobić strasznym, prześladował młodzież, a najbardziej tych, którzy się odszczególniali talentami. Ten doktor siwy był bezdzietny, nad miarę bogaty, stary kutwa, stary lichwiarz; miał kamienicę i żonę Ksantypę, która go trzymała pod pantoflem. Doktor był uparty, nieubłagany, zawzięty — zwyczajnie jak głupiec. Dowodem twierdzenia mojego, jest już to co wyraziłem, a do tego sławne były jego pytania, z których się można przekonać o prawdziwości przysłowia włoskiego: „Dureń umie więcej pytać, niż siedmiu mędrców odpowiadać.“ Otóż tak i z Doktorem było. Albo stawiał pytania od zaczynających się słów jakiego paragrafu, n. p.:

— „Wszystkie cielesne istoty, które należą do świata cielesnego“... — „mów pan dalej“...

— „Chociaż promienie słoneczne zdają się być jednostajne“... — „mów pan dalej“...

Albo stawiał pytania zagadkowe, n. p.:

— „Co się stawia do ciemnego pokoju?“

Baron Petrino, później poseł do Sejmu w r. 1860 odpowiedział raz — „urynał“. — A miał odpowiedzieć: — „w okienicy ciemnego pokoju stawia się soczewka“. i t. d.

— „Co drzy, gdy po niem pociągniesz?“ „Was schwingt, wenn was gestrichen wird?“ — “Co ucieka wstecz, gdy jedziemy?“ — „Czego nie mamy się tykać?“ — „Co szturka, gdy co?“ — „Co widzimy w piórkach, w włosach“ i t. d. — „Co robi igła magnesowa, gdy z nią ku północy jedziemy?“ — „W co nie mamy wierzyć?“ i t. p. i t. p. głupie zapytania.

Jeżeli młodzieniec nie uchwycił za nitkę i nie pociągnął jak budzik w zegarze cały paragraf aż do końca, przepadał. Swoimi wyrazami rzecz całą wyłożyć i dowieść rachunkiem nie znaczyło nic, bo przerywał i nie dał dokończyć. I dlatego otwarte głowy, które się słów nie trzymały, przepadały; druga klasa były owocem ich pracy, chociaż osłów, zwykle u niego w łasce zostających, gdy mu odpowiedzieli na jego zagadki, łatwo przepuszczał.

Baron Petrino, młodzieniec pełen talentu, pilności i nadwiekowej stateczności, pilnie ze mną uczył się tej fizyki przez całą zimę, nie opuszczając prawie żadnego wieczoru; a przecie, gdy przyszło do egzaminu, nie obstał, bo na jego wszystkie przerywane pytania nie odpowiedział, chociaż doskonale umiał i rozumiał ten przedmiot. Ja sam ledwo uszedłem drugiej klasy. Słusznie zasłużył sobie p. doktor na zarzut, który mu oddał baron, gdy mu doktor zarzucił, że się skryptów nie uczył: — „Pan z wszystkiemi swojemi skryptami jesteś osłem.“ — Nie starał się też bynajmniej poprawić tej klasy, bo się nie uczył dla klasy, tylko dla oświecenia swojego. Gdy mu razu pewnego p. doktor (zapewne na ćwierkanie w oczy publicznej opinii i bojarów, którzy znali talent barona) rzekł: — „Czemu p. baron nie przychodzisz popra-

tu był słynny i nader obszerny zbiór dzieł rzadkich i rękopisów, dotyczących przeważnie historyi kraju. Bibliotekę ową, wartość której jak powiadają, przenosiła cenę nietylko zamku, ale i całej włości, Starzyńscy przewieźli do innego ze swoich majątków; pozostały tylko wspaniałe ongi, lecz ręką czasu i niedbałości niszczone coraz bardziej ściany wielkich sal bibliotecznych. W podobnem zaniedbaniu zostawały również pyszne oranżerye zamczyska i miejscowa kapliczka. Zamek w 1861 r. służył niejednokrotnie jako przytułek, jak donosi *Wołyń*, dla powstańców, chroniących się pod możną opieką ówczesnych dziedziców. Istniały też legendy zamkowe. Mówiono np., iż w jednej z sal o północy słyszeć się daje szelest jedwabnych szat niewieścich... Dziś ze starożytnego zamczyska została tylko góra cegieł i gruzu. *Kraj.*

Gazety warszawskie pisały w ubiegłem lecie wiele o Końskowoli, osadzie położonej w guberni Lubelskiej i o walce ekonomicznej pomiędzy katolikami i żydami, walce wynikłej w tym głuchym zakątku kraju, do którego aż dotąd zapewne nie dochodziło zupełnie echo najnowszego anti-semityzmu.

Katolicka część ludności Końskowoli zarzekła się wszelkich stosunków z żydami, i postanowiła nic im nie sprzedawać i nic od nich nie kupować.

Postanowienie to wykonane jest aż do tej chwili święcie, wskutek czego żydzi ponieśli dotkliwe straty; wiele sklepów i szynków żydowskich zamknięto, a natomiast pojawiły się sklepy utrzymywane przez chrześcian.

Takie jednomyślne i ściśle wykonywane postanowienie, wynikłe przytem wśród polskiego plebsu, którzy od najdawniejszych czasów nie zdradzał ani inicyatywy, ani zdolności do działań zbiorowych, zwróciło na siebie powszechną uwagę.

Niektóre z tutejszych wydawnictw peryodycznych doniosły, że katolicy końskowolscy uczynili rzeczone postanowienie, pragnąc odłacić tym sposobem żydom za to, że denuncyonowali miejscowego księdza przed władzami, z rozporządzenia których tenże ksiądz usuniętym został z Końskowoli; — żydzi zaś według doniesień tychże gazet byli niezadowoleni z księdza z powodu jego pomyślnej walki z pijaństwem, dzięki której dochody żydowskich szynkarzy zmniejszały się znacznie.

Instytut gospodarstwa rolnego i leśnictwa w Puławach, postanowił jeden ze swoich doświadczalnych folwarków, Połog, wypuścić w 12-letnią dzierżawę, kładąc za warunek odbudowanie potrzebnych i poprawienie istniejących folwarcznych budowli.

Wątpić jednakże należy, aby w obecnych ciężkich czasach dla rolnictwa, znalazł się przedsiębiorczy dzierżawca, któryby przyjął na siebie warunki, które dla samego Instytutu są trudne do spełnienia, przy subsydyach, jakie na ten cel posiada i od których, oddając folwark w dzierzawę sam chciałby się uwolnić.

Polacy na obcych ziemiach.

Towarzystwo literacko-słowiańskie przy uniwersytecie wrocławskim obchodzić będzie w Czerwcu przyszłego roku 50letni jubileusz swego istnienia.

Obchód ten zamierzamy uświetnić wydaniem pamiętnika, który prócz kilku rozpraw czynnych członków, będzie zawierał historyę Towarzystwa, oraz imienny spis wszystkich, którzy kiedykolwiek do niego należeli. Ażeby zamiary nasze przyszły do skutku, odzywamy się do wszystkich byłych członków z prośbą, aby choć skromnym datkiem przyczynili się do urzeczywistnienia naszego zamiaru. Dary pieniężne prosimy przesyłać w jak najkrótszym czasie na ręce jednego z niżej podpisanych.

Wrocław, dnia 17. Listopada 1885.

Wacław Marten,	Władysław Kiszewski,
stud. fil., prezes.	stud. jur. cam., sekretarz,
Herrenstrasse 16.	Heinrichstrasse 4.

Wszystkie pisma polskie prosimy o powtórzenie niniejszej odezwy.

Rodak nasz Antoni J. Klidzio, mieszkający w Nanticoke, Pa., wynalazł maszynę do szatkowania kapusty, ziemniaków, buraków i tym ponobnyoh roślin, która w d. 13 października r. b. została patentowaną. Maszyna jest bardzo pojedynczą, trwałą, a próby nią robione okazały, że jest wyborną. Szczególnym jej przymiotem jest także to, iż w razie niepotrzebowania jej, lub w razie przesyłki z jednego miejsca na drugie można ją złożyć tak, iż bardzo mało zajmuje miejsca.

Przy maszynie znajduje się przyrząd, który umożebnia szatkowanie wyżej wspomnianych warzyw w takiej grubości, jak się podoba.

Dla przedsiębiorcy polskiego jest to dobra sposobność zrobienia interesu dobrego, gdyż wynalazca zamierza, sprzedać patent i prawo fabrykacyi maszyny pod bardzo przystępnemi warunkami. O bliższe szczegóły trzeba się udać do samego wynalazcy.

Antoni Klidzio, Nanticoke, Pa.

Czego to już i kogo Polacy nie uczą. Obywatel Grabiński, naczelnik szkoły indyańskiej w Lawrence Kan., oskarza się bardzo na dzieci powierzone jego opiece. „Pomimo iż karność w tym zakładzie“, powiada on jest dość surową, to jednak został tylko jeden chłopiec podczas trzymiesięcznego mego zarządu szkołą srogo ukaranyé nie dlatego że wykroczył przeciw karności, lecz ponieważ wszczął bijatykę z innym chłopcem. Dzieciom indyańskim jest tu niezawodnie lepiej, jak u ich rodziców, bo dostają dobry ubiór, wyborną strawę itd., lecz wrodzona im rozwiązłość i żądza nie pozostawania pod rozkazami nikogo, powodują ich do ucieczki. Mało który z uciekinierów puszcza się w drogę na kolejach żelaźnych; zwyczajnie idą manowcami, jak daleko tylko mogą, a gdy im zabraknie pieniędzy, poczynają żebrać lub kraść. Ob. Grabiński wysłał do obywateli mieszkających w pobliżu Lawrence, okólnik, prosząc ich, iżby mu donieśli w przypadku, gdyby zbiegów widzieli, aby ich za pomocą władz mógł dać schwycić. (Gaz. pol. Chicago).

Towarzystwo bratniej pomocy imienia Kościuszki ofiarowało 100 dolarów na rzecz Polaków wydalonych z ziem polskich pod zaborem pruskim. Pieniądze te zostaną niebawem wysłane do komitetu centralnego w Toruniu

Pani Jarocka, prawnuczka Pułaskiego, polskiego bohatera z czasów wojny rewolucyjnej, była przez trzy lata zatrudniona w wydziale wojny, co miała do zawdzięczenia prezydentowi Arthurowi. Jest bardzo zaciętą demokratką i w roku ubiegłym dała 25 dolarów na fundusz zbierany w celu wyboru Clevelanda. Kilka tygodni temu dano jej dymisyę. P. Jarocka twierdzi, że jest jedyną osobą usposobienia demokratycznego, która została zdymisyonowaną. Po kilka razy udawała się do minissra Endicotta z prośbą, aby ją znów zatrudniono, lecz usiłowania jej były dotąd nadaremnemi.

J. I. Kraszewski przybył już do San Remo, gdzie zostaje pod opieką zacnego i biegłego dra Tymowskiego. Znakomity nasz powieściopisarz jest nadzwyczaj znękany i schorzały, chodzić nawet nie może o swojej mocy. Okazuje się obecnie, iż uwolnienie swoje zawdzięcza Kraszewski wyłącznie królowi Humbertowi, który, jak donosi „Italie“, organ ministeryum spraw zagranicznych, telegrafował do ks. następcy tronu niemieckiego, prosząc go, aby się zajął sędziwym Kraszewskim i wyrobił jego uwoinienie. Cesarzewicz odpowiedział, że życzenie króla Humberta już spełnione. We Włoszech obiega pogłoska, iż Polacy chcą posłać królowi Humbertowi dziękczynny adres, za jego wstawienie się za Kraszewskim Byłoby to bardzo właściwem i rzecz tę należałoby wziąć pod rozwagę.

W jednym z ostatnich numerów „Nowosti“ znajdujemy następującycy urywek z listu p. Niemirowicza-Dańczenki, znanego rosyjskiego beletrysty, który widział Kraszewskiego w ubiegłym tygodniu w Medyolanie:

„Znakomity i głośny do tej pory z utworów swoich, a odtąd i z nieszczęść przebytych, pisarz polski Kraszewski, spędził w Medyolanie trzy dni po drodze do Riviery, której cudowny klimat i niebo, ożywczo oddziałają na siły twórcze szanownego starca. Tłumy medyolańczyków spieszyły do Kraszewskiego, aby wyrazić mu swe współczucie i uwielbienie, ale towarzyszący mu lekarz kategorycznie zabronił mu rozmawiać i przyjmować obcych. Kraszewski, niedawno jeszcze silny i żwawy, chodzi teraz pochylony i rzecz widoczna, że gdyby jeszcze miesiąc w więzieniu przepędził, zdrowie jego byłoby bezpowrotnie nadwerężone! I teraz lękają się, jak z tem zdrowiem będzie! Jakkolwiek cierpi fizycznie, Kraszewski jest przecież po dawnemu silny i jasny duchem. Ma on szerokie plany — i łagodne, pieszczotliwe wybrzeża Śródziemne, pozwolą mu zapewne niebawem przystąpić do pracy. W Medyolanie raz tylko wyjeżdżał z domu: był u fotografa Ricci, który zdjął z niego podobiznę. Mnóstwo kart wizytowych złożono tutaj Kraszewskiemu na dowód, że ciemne twierdzy magdeburskiej, nie ujęły mu pewszechnego uwielbienia, przeciwnie, zwiększyły je. Ani w myśli też komukolwiek, aby Kraszewski mógł być winnym we właściwem pojęciu tego słowa, a najpopularniejsze pisma tutejsze, jak „Il Secolo“, „Corriere della Sera“, „Italia“ i „Lombardia“ pomieszczają jego życiorys, niektóre i wizerunek. Kraszewskiego dzieła prawie wszystkie są przełożone na język rosyjski i jest to autor w Rosyi ogromnie popularny. Życzmyż mu więc i my z serca, przybytku sił żywotnych i dzielności. Dowiaduję się, że firma księgarska Treves, jedna z najpierwszych, najpierwsza może we Włoszech, przystępuje obecnie do przekładu zbiorowego najlepszych utworów Kraszewskiego“. *Chwila.*

---

wić klasę? — Odrzekł: — „Pan jesteś szują, nie profesorem i masz wiedzieć, że mi pańskiej klasy nie potrzeba, bo ja teraz więcej rozumię niż p. doktor z całym magazynem swoich skryptów“. — Bezczelny Harpago oskarżył barona przed hofratem i najmoralniejszemu, najpilniejszemu młodzieniaszkowi dano drugą klasę z obyczajów, z której drwił baron i jego towarzysze.

Baron na drugi kurs nie uczęszczał na prelekcye doktora, chyba wtedy, gdy miały być eksperymenta, a na inne prelekcye był pilnym słuchaczem. Otóż w zimowem półroczu otrzymałem z p. baronem wszystkie eminencye, z tą różnicą, że z fizyki on drugą, a ja pierwszą. Trzeba było szczerze przyłożyć się do nauki; opuściłem niektóre lekcye, aby zadośćuczynić naukom, a szczególnie tej przeklętej fizyce. Chciałem pożegnać metra, którego syn nie obstał na egzaminie, ale mię poczciwy ojciec nie chciał puścić, mówiąc, że mi bynajmniej nie wyrzuca tego, że Niko nie obstał, skoro pan i baron Petrino ledwieście uszli. — „To łajdak, szuja, ten doktor! Bądź pan u nas i nie opuszczaj nas. Niko już nie będzie uczęszczał na prelekcye, będzie chodził na godziny uczyć muzyki (bo był dzielnym muzykiem na skrzypcach i fortepianie), ale abyś się pan nie żenował przyjąć u mnie stół, to będziesz uczył kilku chłopców u mnie na stancyi stojących i moich dwóch synków. Od studentów będziesz brał 3 fl. miesięcznie.

Jakoż porzuciłem wszystkie lekcye, nawet z żalem wielkim Hanusię i mamuńcię, i sprowadziłem się do metra, gdzie mogłem wieczorami wynagradzać, co się w dzień zaniedbało.

Zdybywałem kilka razy i mamuńcię i Hanusię, a nawet bywałem tam z kilka razy przez lato, lecz donosiły mi złe języki, że Hanusia bardzo tęskniła, nie mogła się uspokoić, że się zakochała po uszy we mnie, że mamuńcia czyniła mi propozycyę, abym się z Hanusią ożenił po ukończonych studyach, to mi przez cztery lata praw da utrzymanie, i t. p. baśnie chodziły chyłkiem, chociaż ja o tem nie wiedziałem, ani nie słyszałem propozycyi, ani nadziei pannie nie robiłem, ani nie wyzyskiwałem niczyjej łatwowierności. A gdy mię przypiekła obawa przed Wierzbowskim, nigdzie się nie pokazywałem, tylko uczyłem się prawie bez przestanku.

Razu pewnego opowiadał doktor o łamaniu światła i na dowód przytoczył to: że gdy raz był w Karlsbadzie i siedział w wannie, przyszła do niego jego pani i wykrzyknęła: — „Boserl! wszak ty masz krzywe nogi! — A ja — mówi doktór — rzekłem do żony: Ty nie rozumiesz pysiu, co to jest katoptryka, ja nóg krzywych nie mam; ale tobie się tak wydaje, bo siedzę w wodzie, a światło w wodzie łamie się“.

My wszyscy w śmiech, a doktor po uszy się zarumienił, aż gdy ktoś odezwał się: — „A co żona jeszcze widziała?“ — wtedy cała sala zanosiła się od śmiechu, że trudno było uciszyć młokosów. I taka to prelekcya o katoptryce gruchnęła po mieście, że już i przekupki powtarzały i śmiały się do rozpuku.

Mijał przyjemny Maj, muzyka i zabawy w ludowym ogrodzie, — nie mogłem nawet odwiedzać ogrodu, chyba w powszedni dzień, ucząc się tam.

Minął i Czerwiec — nastały egzamina. Przez cały wtóry kurs uczyłem się i zdawało mi się, że mię nie schwyci p. doktor. Szedłem na pewne naprzeciw egzaminowi z fizyki.

Lecz wracam się do „Bosia“, (tak doktora nazywaliśmy). Wkrótce po owej prelekcyi o katoptryce, wymalował ktoś Bosia w wannie, i żoneczkę jak zagląda do wanny, a do tego wypisał jakieś wiersze. Kilka takich obrazków rozrzucono między znajomych Bosia, przylepiono na akademii i samemu doktorowi na jego kamienicy, co wywołało niemały śmiech w salonach Czerniowiec. Żona Bosiowa, Ksantypa, szalała ze złości i używała wszelkich sprężyn, aby się mogła dowiedzieć, kto ten paszkwil skomponował. Jasnem było, że pochodził od studentów i to od Polaków, bo polskie wiersze były. Nie mogąc niczego się dowiedzieć, chociaż podłych kolegów nie brak było, wpadł p. doktor i żona przez studentów na ten domysł, że te wiersze skomponowałem ja, a o resztę postarał się Petrino. Nie mogąc z tem wyjeżdżać, dusił w sobie nienawiść ku mnie, który Bogu duszę był winien, i gotował się do zemsty. Gotował także tę samą zemstę i dla drugiego towarzysza mojego, utalentowanego Krulikowskiego, ale nie wiedział, który z nas jemu tego psikusa wypalił. Gotowaliśmy się oba do boju z Bosiem.

(C. d. n.)

„Dodatek do Gwiazdki cieszyńskiej Nr. 48. zawiera odezwę zatytułowaną: **„Do narodu polskiego.“**

I któżto jest ten, który żąda, aby głos jego cały naród usłyszał? Oto Paweł Stalmach, redaktor „Gwiazdki cieszyńskiej“, który nie od wczoraj oddaje wielkie usługi narodowi polskiemu i Ojczyźnie. A w jakich warunkach ten szermierz walczył i walczy dla naświętszej idei, o tem zapewne mało jest takich, którymby było nieznanem. Gdy on bojował i nieugięty stał na wyłomie, jak Bóg i sprawa Ojczyzny nakazuje, to ci, do których to według sumienia należało, milczeli, a narodowa sprawa szląska była dla nich nieomal ziemią nie znaną. Jeżeli zaś ktoś wzywał dziennikarstwo nasze: — „nie opuszczajcie Szlązka, bo to brać serdeczna nasza, to te potęgi opinii publicznej, szermierze i trybuni, ruszali litościwie ramionami, lub tylko w rzadkich wypadkach, nie uznając nawet za właściwe — ścisłego zbadania sprawy i poznania tej wdzięcznej gleby, nie zadawali sobie żadnych trudów, pisząc o niej. Dopiero od lat dwóch, gdy arena patryotyzmu szlązaków uznaną została za materyał cenny do rozmaitych osobistych aspiracyj i planów, zaczęto się rozczulać nad szląskim ludem. Gdy jednak dzielny Paweł Stalmach poznał szkodliwość tej działalności i wrzekomej opieki, a zaprotestował przeciw niej, hajże wtenczas na Soplicę i nuże przy pomocy starych praktyk, obrzucać podejrzeniami lub kalać błotem niczem nieugiętego bojownika, usiłując podkopać wiarę w niego u ludu szląskiego, jaką sobie sumienną pracą zdobył przez długie lata. Nie myślimy tu bezwzględnie stawać w obronie p. Pawła Stalmacha, bo i on nie jest niczem innem, jak tylko człowiekiem; ale mamy tę świadomość, że nawet zbrodniarza nie wolno potępiać bez sądu i przekonania o jego winie.

Jeżeli Paweł Stalmach zawinił czemkolwiek w sprawach nas gorąco obchodzących, to winien być pociągnięty bezwłocznie przed forum sądów obywatelskich. Ale to nie jest droga, na którą zwykli wchodzić nasi wrzekomi, a głośni patryoci, którzy „nie dla siebie“ — ale dla miłej i drogiej im sprawy narodowej pracują. A jakiejże to siły potrzeba dla takiego wybranego potępieńca, aby walczyć i bronić się przeciw nieuchwytnym oszczerstwom, gdy znanem jest, iż nieuczciwe dziennikarstwo umie zabijać moralnie niedogodnych im ludzi, wykręcając się sianem nawet od paragrafów prawa karnego.

Otóż czujemy obawę, że nawet taka odezwa do całego narodu może nie odnieść skutku i być przez wszechwładne dziennikarstwo spotwarzoną na nowo, lub co najmniej ośmieszoną, bo i to broń bardzo skuteczna. Nie mamy nawet przekonania, czy dziennikarstwo galicyjskie uzna za właściwe powtórzyć te odezwę; dlategoteż zamieszczamy ją w naszem piśmie, aby głos tak śmiało występującego obywatela, dotąd dobrze zasłużonego Ojczyźnie, znalazł poparcie:

„Do narodu polskiego.

Nigdy dzienniki krakowskie nie lubiły zajmować się Ślązkiem; jak same przyznają, wspominały o nim, gdy się z niemieckich gazet co dowiedziały. Dopiero w ostatnich dwu latach rozpisały się o Slązku, w szczególności o księstwie Cieszyńskiem, ale widocznie nie ze szczerej miłości dla ludu slązkiego, i nie z bezstronnością, ale dla celów partyjnych.

Gdy po smutnych doświadczeniach lud śląski zabrał się do czynu, aby przypadające w ostatnich dwóch latach wybory sejmowe i do Rady państwa z pomyślniejszym przeprowadzić skutkiem, rozwinęły dzienniki krakowskie, a za niemi niektóre inne polskie, agitacyę, która mogła tym wyborom tylko szkodzić. Szczególnie pociski ich były wymierzone przeciwko *Gwiazdce cieszyńskiej* i mojej osobie, że stanąwszy bezstronnie wśród zapasów stronnictw, i niedawszy się zwieść przez partyjność protegowaną z Krakowa, nie wystąpiłem przeciw życzeniom ludu śląskiego w jego większości narodowej, i nie przeszkodziłem pożądanemu wyborowi. Mogę powiedzieć, że jedynie wskutek takiego zachowania się mojego umożliwionym został wybór narodowego posła do Rady państwa — a za to muszę cierpieć.

Wiele w tymto czasie pisały dzienniki krakowskie, lecz niezgodnie z prawdą, a wszystko w ten sposób, że to tylko mogło osłabiać czynniki, pracujące do dopięcia celu narodowego. Zdania drugiej strony nie chciały przyjąć ani słyszeć, owszem starały się prawdę zagłuszyć.

Ostatecznie owe pisma polskie wyjawiły, że cała ta sprawa jest to „spór p. Żółtowskiego i p. Stalmacha“. To znaczy: wyjawiły one, że całą tę agitacyę dziennikarską przeciwko mnie — choć nietylko przeciwko mnie, ale przeciwko Slązkowi — pobudzał p. Żółtowski w Krakowie, od dawna mi nieprzyjaźny, ponieważ nie zdałem się na narzędzie jego urojeń, szkodliwych Slązkowi. Nie tajno zresztą w Krakowie, jak on tam wszelkie poruszał sprężyny.

Nie dość na tem. Kiedy nie wystarcza owa agitacya przez dzienniki polskie, rozsyła się teraz z Krakowa pismo do różnych instytucyj w Galicyi, aby *Gwiazdce cieszyńskiej* odmówiono wszelkiego poparcia. Dawniej też już grożono wpływem na prenumeratę *Gwiazdki cieszyńskiej*. Owe rozsyłane pismo zawiera tylko oczernienie bez wszelkiego dowodu. Na tej podstawie mógłbym za obelgę i szkodliwość szukać zadośćuczynienia przed zwyklemi sądami Państwa.

Nie szukam jednak sprawiedliwości u zwyczajnych sądów, ale wobec całego narodu polskiego żądam *sądu polubownego*.

Kiedy dawniej dzienniki krakowskie tak mało troszczyły się o Slązk, tem więcej uderza oczywiście szkodliwa ich interwencya w ostatnich dwóch latach, która mogłaby była tylko podtrzymać pewien *zastój* w sprawie narodowej na Slązku, i nadal utrwalićby klęski. Przeciwko temu zastrzedz się musi Slązk, a pewnie tak samo Polska. Trzeba więc koniec położyć intrydze, prowadzonej w Krakowie.

Podejmuję się tego i żądając sądu polubownego, czynię to:

1. dla swojej osoby — bo nie posiadając nic oprócz uczciwości, muszę tej uczciwości swojej bronić, a zatem odeprzeć obelgi i kłamstwa, publicznie przez dzienniki krakowskie i tajnie przez jakieś osoby o mnie rozszerzane.

2. dla Slązka — bo Slązk pragnie, aby o jego stosunkach prawdę mówiono i nie wystawiano go w fałszywem świetle; tudzież aby usunięto ową agitacyę krakowską, która tak szkodliwie oddziaływa na pracę około rozwoju sprawy narodowej, a jedynie dopomaga agitacyi niemieckiej.

3. dla Polski — aby kiedyś nie poczuła się winną, że w tak ważnej sprawie pozwoliła się w błąd wprowadzić przez niektóre dzienniki, które całą tę sprawę po dziś dzień z podziwienia godną łatwowiernością i lekkością traktują.

4. wreszcie dla Krakowa samego — aby z powodu prowadzonej w nim agitacyi uniknął pozoru, że jako najbliższy główny punkt polski jest nieprzyjaźny usiłowaniom śląskim.

Wzywamy tedy redakcye krakowskie, mianowicie: *Czasu, Nowej Reformy, Gazety Krakowskiej (Głosu politycznego) i Djabła*, wraz z panem Żółtowskim, aby przystali na sąd polubowny dla usprawiedliwienia swego postępowania, i w tym celu oddali mu kompletne roczniki z lat 1884 i 1885, tudzież inne posiadane dokumenta. Do tego sądu niechaj wybiorą trzech mężów swego zaufania i używających ogólnego szacunku; ja dla swojej strony wybiorę także trzech sędziów i złożę swoje dowody. Obustronni sędziowie zaś obiorą sobie siódmą osobę na przewodniczącego.

Czyniac to wezwanie wobec całego narodu, spodziewam się, że wezwani *pod warunkiem swej uczciwości* przyjmą takowe, a Polsce wyjaśni się sprawa.

W Cieszynie, dnia 15. listopada 1885.

Paweł Stalmach,
redaktor „Gwiazdki Cieszyńskiej.“

KRONIKA.

Sercem za Serca.

Choć serce i dusza płaczą krwawemi łzami, chociaż ból i żal nieukojony przejmuje na wskróś, a z przed oczów nieszczęśliwego ojca, brata i siostry dniem i nocą nie ustępuje widmo krwawe najukochańszego Syna, — ofiary, — należy jednak zebrać choć resztki sił, aby złożyć dzięki sercem za współczucie, które po modlitwie do Boga stanowi chociaż kropelkę rosy ożywczej w tak wielkiem strapieniu.

Dzięki Wam też zacni i szlachetni kapłani w Göding, którzy na czele Waszego dziekana oddaliście tak prawdziwie chrześcijańską usługę, a ostatnią na ziemi memu synowi ś. p. Maryanowi, odprowadzając go na wieczny spoczynek.

Dzięki Ci przezacny i szlachetny Panie Redlichu: — Rotmistrzu mego kadeta-ułana, dla którego nie byłeś tylko rotmistrzem, ale szczerym opiekunem i przyjacielem, którego Ty jeden umiałeś cenić serce i charakter.

Dzięki Wam wielce szanowni obywatele miasta Göding, którzyście z takiem współczuciem otaczali trumnę tak zawcześnie zgasłego polskiego młodzieńca!

A teraz jakiemiż słowy odpłacę i okażę moją wdzięczność dla Was wszystkich zacni Rodacy, przyjaciele i towarzysze, którzy na pierwszą wieść hiobową, pojmując ten ból ojca, brata i siostry ś. p. Maryana, pospieszaliście i pospieszacie dotąd z wyrazami szczerego współczucia, z bliska i z dala!

Dzięki Wam, dzięki zacni i szlachetni! A w nagrodę tego udziału w żałobie — oby Was Bóg wszechmocny uchronić raczył od niesienia tak ciężkiego krzyża.

Jedno tylko słowo dodam jeszcze dla wszystkich: Oto, że ś. p. syn mój Maryan tak jak żył i umarł — czysty, szlachetny; ale widocznie musiała się spełnić wola Boża i jej się też poddaję.

Lwów, dnia 1. Grudnia 1885.

Jan Nepomucen z Oleksowa Gniewosz,
ojciec, wraz z pozostałemi dziećmi
Elżbietą i Janem.

P. Amirowicz, aptekarz w Stanisławowie, ściąga na się pioruny (dzięki Bogu nieszkodliwe) prasy niemiecko-pruskiej, a to z następującego powodu:

Dom handlowy z nad Renu, a jeden z najznaczniejszych, z którym p. Amirowicz stał poprzednio w stosunkach, nadesłał mu i w tym roku swoje cenniki. P Amirowicz bez straty czasu odsyła te cenniki nie czytane, a mianowicie, że wobec ohydnego postępowania Prusaków z Polakami, poczuwa się do obowiązku zerwania wszelkich stosunków handlowych z Niemcami.

Ta odpowiedź tak oburzyła znakomitą firmę, iż podała fakt ten do dzienników, piętnując w drastyczny sposób postępek p. Amirowicza.

Mylnie jednak twierdzą Niemcy, że p. Amirowicz jest unikatem, który sobie tak postąpił. Dobry to już znak, jeżeli Niemcy nie mówią: „Schwamm darüber“.

Od nas więc jedynie zależy, aby ich krew wprowadzić w żywsze tempo.

Brandmeistry. Gdy jak wiadomo młodzież wszelkich instytucyj naukowych w Galicyi obchodzi uroczyście pamięć wielkiego wieszcza narodowego Adama Mickiewicza, gdy we Lwowie nietylko młodzież akademicka, ale i gimnazyalna, mianowicie gimn. Franciszka Józefa najuroczyściej tę pamięć obchodziła, nie dopuszczono do tego aktu pietyzmu młodzieży IV. gimnazyum, t. zw. bernardyńskiego.

P. Walenty Kozioł, dyrektor tegoż gimnazyum, gdy się młodzież zgłosiła do niego o pozwolenie, nie mógł jej wprawdzie odmówić, ale pokład takie warunki, że urządzenie wieczorku stało się wprost niemożebnem. I tak:

Zabronił, aby młodzież dla urządzenia wieczorku zawiązała się w jakikolwiek komitet.

Zabronił pobierania wszelkiej zapłaty za wstęp, chociażby najmniejszy, dla pokrycia najniezbędniejszych kosztów, jak n. p. sprowadzenia fortepianu, kwiatów, lub czegoś podobnego.

Zabronił składki dobrowolnej pomiędzy kolegami na wieczorek.

Zabronił uczniom przemowienia wstępnego, lub odczytu o Mickiewiczu.

A natomiast zezwolił, aby profesor języka polskiego zagaił wieczorek. Tenże jednak, Dr. Maurycy Maciszewski, dostawszy niezawodnie „einen Wink von Oben“ — odmówił wręcz swego udziału.

P. dyrektor Walenty Kozioł wyraźnie powiedział uczniom, że będzie postępował bezwzględnie z tymi wszyskimi uczniami, którzy wezmą udział w programie wieczorku, i mogą być pewni „dwójek“.

Ks katecheta Neuburg mówił o wieczorku do uczniów z prawdziwem oburzeniem: — „poco wam jakichś wieczorków.“ — Tak samo odradzał i p. profesor Piętkiewicz.

Wstrzymujemy się od wszelkich uwag, jako zbytecznych wobec tych faktów, a oddajemy sprawę pod sąd opinii publicznej, bo takie postępowanie w gimnazyum bernardyńskiem jest i będzie — spodziewamy się — unikatem w Galicyi.

Najlepsza nowa pedagogia. Do „Diła“ piszą: — „We wrześniu b. r. był starszym nauczycielem w Oknie p. Tyszkowski; w październiku i listopadzie

p. Hak, a od 1. grudnia objemuje tę posadę p. Gołębiowski, który przynajmniej miesiąc powinien tu zabawić. Jak widzicie, w czterech miesiącach trzech nauczycieli, a do końca roku szkolnego pewinno ich być co najmniej siedmiu! Dotychczas pedagogowie twierdzili, że im lepiej nauczyciel pozna miejscowe stosunki i dzieci, im więcej dzieci przywiążą się do nauczyciela, im więcej rodzice dzieci mają do nauczyciela zaufania, — tem łatwiej i lepiej przychodzi nauczycielowi uczyć i wychowywać dzieci. Ale zasada ta pedagogiczna już za stara, trzeba ją zastąpić nową, lepszą, a to: zmieniać nauczycieli jak najczęściej, co 1—2 miesiące, bo im więcej nauczycieli, tem lepsza oświata, a co potrafi siedmiu, tego nie dokaże jeden!" Takiej metody trzyma się tarnopolski inspektor p. Michałowski, gdyż Rada szkolna okręgowa przenosi nauczycieli ze względów służbowych i innych tylko na wniosek inspektora pedagoga..... Tylko tak dalej panie inspektorze, a oświata w Galicyi, panie Dobrodzieju, będzie górą!"

Ostrzeżenie. Włóczęgi i rzezimieszki rozpoczęli już po Lwowie swe operacye, wyzyskując na rzecz wygnańców z Prus łatwowierność obywatelską. Kręcą się po całem mieście, a jeden taki pod nazwiskiem „Kowalczyka" przybył wczoraj do redakcyi *Strażnicy polskiej*, przedkładając sfałszowane dokumenta. Gdy się w redakcyi przekonano, że to oszust, posłano po policyę. Oszust znalazłszy się sam tylko z redaktorem, rzuca się niespodzianie ku biórkowi, na którem leżały te dokumenta, chwyta za takowe i usiłuje uciec. Powstrzymany jednak silną ręką, drze dokumenta w kawałki, pocem udaje mu się wyrwać, aby zemknąć, lecz na krzyk redaktora przeszkodzili temu mieszkańcy kamienicy, poczem przybył policyant, który oszusta odprowadził do c. k. Dyrekcyi policyi.

Fatalne skompromitowanie w armii pruskiej. Przed kilku dniami ogromną sensacyę wywarło na całym obszarze Niemiec uwięzienie aż jedenastu płatników wojskowych i osadzenie tychże po fortecach. Jeden powiewek wiatru wystarczył, aby wrzekomo niepokalaną dotąd uczciwość i honor w militaryzmie pruskim zostały fatalnie na szwank wystawion. Oto rzecz się tak miała: W Szczecinie był bogaty negocyant, który trudnił się znacznemi dostawami dla armii niemieckiej. I tak n. p. aprowidował 22 bataliony; wszystko odbywało się „Regelrecht", szczególniej rachunki pp. płatników zgadzały się najzupełniej z kwitaryuszami. Pewnego pięknego dnia p. liwerant ogłasza niewypłacalność, a księgi jego dostają się naturalnie do Sądu handlowego. W książkach tych znaleziono mnóstwo pozycyj, pod tytułem „prowizye od interesów". Gdy zaś dalej zaczęto badać, jakiego to rodzaju były te prowizye, pokazało się, że były wypłacane panom płatnikom armii, zajmującym rozmaite stopnie oficerskie, a jak już są podobno poszlaki, to nietylko wchodzą w grę pp. płatnicy, ale i inne osobistości, mianowicie te urzęda wojskowe, które bezpośrednio odbierały aprowizacye, a potem wystawiały do płatników kwity. Można sobie wyobrazić, jaki popłoch stał się w armii „der Gottesfurcht, und unbefleckten Soldatenehre".

Nowy minister wyznań i oświecenia, dr. Paweł Gautsch von Frankenthurn urodził się w r. 1850. i jest synem urzędnika państwowego. Studya uniwersyteckie odbył w Wiedniu i tam w r. 1873 został promowany „sub auspiciis imperatoris" na doktora praw. W tymże roku wstąpił jako koncypista do prokuratoryi skarbowej, wkrótce jednak został powołany do ministerstwa wyznań i oświecenia. W listopadzie r. 1875 poruczono drowi Gautschowi kierownictwo biura prezydyalnego tegoż ministerstwa. Szybko awansował następnie na wiceskretarza ministeryalnego, a już w r. 1881 otrzymał nominacyą na radcę rządowego a równocześnie na dyrektora Theresianum. Gdy w r. 1882 akademią oryentalną połączono z akademią Theresianum, dr. Gautsch został radcą dworu. Nowy minister jest kawalerem orderów Leopolda i Franciszka Józefa, właścicielem złotego krzyża zasługi z koroną, kawalerem rosyjskiego orderu św. Stanisława II klasy, kawalerem serbskiego orderu Takowy, oficerem czarnogórskiego orderu św. Daniela, komandorem ottomańskiego orderu Medżidżie i greckiego orderu Zbawiciela, kawalerem portugalskiego orderu Chrystusa, komandorem rumuńskiego orderu korony i właścicielem perskiego orderu słońca i lwa II klasy.

Do statystyki żydów. Biuletyn towarzystwa geograficznego w Marsylii podaje następujące cyfry, odnoszące się do ludności żydowskiej na kuli ziemskiej. Liczba żydów na świecie wynosi 6,377.602 głów. Z tych przypada na Europę 5,407.602, na Azyę 245,000, na Afrykę 413,000, na Amerykę 300,000, na Oceanię 12,000. W Europie zamieszkuje: Niemcy 561,613 żydów, Anglię 60,000, Austro-Węgry 1,643,708, Belgię 3000, Danię 3946, Hiszpanię 1900, Francyę 70,000, Grecyę 2652, Szwajcaryę 7373, Holandyę 81,623, Włochy 36,289, Luksemburg 6000, Portugalię 200, Rumunię 260,000 Rosyę i Królestwo Polskie 2,552,145, Turcyę europejską 116,000. W Azyi mieszka w granicach państwa Ottemańskiego (tj. w Palestynie, Syryi Azyi Mniejszej i Arabii) 150,000, w Persyi 15.000, w Rosyi azyatyckiej 47,000, w Turkostanie i Afganistanie 14.000, w Indyach i Chinach 19.000. W Afryce liczą: w Algeryi 35,000, w Maroko 100,000, na Saharze 8000, w Tunisie 55,000, w Trypolisie 60,000, w Abisynii 200,000, na przylądku Dobrej Nadziei 1000, w Egipcie 8000.

Najnowsze wiadomości.

Gdy rzecz sama jest wielce smutną, jeżeli dwa pobratymcze szczepy słowiańskie toczą nawzajem krew własną, to zawsze należy szukać tych, którzy do tej bratobójczej walki podszczuwali i podszczuwają.

Otóż przypominamy naszym czytelnikom, że już w samym początku rewolucyi bułgarskiej donosiliśmy, iż równocześnie z owym dniem ochotnicy moskiewscy jakby czekając tylko na hasło nad granicą, ruszyli do Bułgaryi w znacznej liczbie.

Następnie sprawdzono na dworcu kolei w Krakowie, że Rosya wysyła całymi wagonami broń do Bułgaryi. Obecnie donoszą dzienniki wiedeńskie, co następuje (podług korespondencyi z Sofii):

„Trzy tysiące rosyjskich ochotników pobiło 10.000 wojska serbskiego. Nieszczęście to trafiło oddział, którym jenerał Milijutyn Jowanowicz komenderował. W armii bułgarskiej można liczyć 4.000 ochotników rosyjskich.

Przybyli oni z Rumelii wschodniej w dniu, w którym ta serbska klęska nastąpiła; ledwo zdążywszy na plac boju, uderzyli zaraz na Serbów, nazywając tychże, „niewiernymi braćmi, którzy oswobodzenie ich przez Rosyę od Turków odpłacają niewdzięcznością."

Otóż widzimy całą komedyę jak na dłoni, jaką odgrywała się w Petersburgu, gdy car nie tail się ze swem oburzeniem na Battenberga i wykreślił go z armii, — gdy odwołano wrzekomo wszystkich oficerów rosyjskich, dla puszczenia tumana Europie. Nic to jednak nie przeszkadzało, aby rownocześnie ochotnicy rosyjscy nie tylko wstępowali do szeregów bułgarskich, ale utworzyli osobny legion, składający się z 3.000 ludzi. Należy wiedzieć, z jakich się to ludzi składają tacy ochotnicy rosyjscy. Oto pułkownik lub inny dowódca zwołuje żołnierzy do szeregu kompaniami lub batalionami i oświadcza im o celu wyprawy — na ochotnika. Naturalnie, że jestto gratka nie lada dla moskiewskiego żołnierza, a więc idą na ochotnika najtężsi żołnierze i podoficerowie, a tak samo i oficerowie. Że taki ochotnik starczy naweza kilku bitnych żołnierzy, to rzecz pewna. Niechaj więc nikogo nie dziwi, że taki 3-tysięczny żelazny klin mógł rozbić 10.000 Serbów.

Nam jednak nie o to idzie, lecz o wykazanie, jak to Moskwa rozlewem krwi bratniej toruje sobie drogę do dalszych zaborów i dalszych najazdów.

Że Bułgaryę dziś już należy uważać za moskiewską prowincyę, to pewna; ale jeżeli się poczuwamy rzeczywiście do łączności słowiańskiej, to należałoby jedynie ku Serbii zwrócić nasze uczucia.

Targ zbożowy.

Lwów dnia 30. Listopada 1885.

Jeżeli na Zachodzie obecna wojna serbsko-bułgarska nic nie oddziałała na ceny produktów rolnych, to spodziewaliśmy się, że w kraju położonym bliżej placu boju a zatem i w naszym — jeżeli już nie zwyżkę, to przynajmniej chęć do kupna i popyt na zboże wywoła. Okazało się jednakowoż inaczej, z wyjątkiem tylko owsa, za którym z początku wojny był dość znaczny popyt i ceny o 30 ct. się podniosły — obecnie jednakowoż ceny zeszły do swego w tym roku normalnego stanu. Jedyny wyjątek bez żadnego oddziałania na kraj nasz, stanowiły chwilowo tylko Węgry, gdzie na mąkę żytnią był dość ożywiony handel i wszystkie zapasy zostały sprzedane — bez podniesienia się cen. Za wyborowymi gatunkami wagi effektiv pr. hektol. 80 — pszenicy, a mianowicie białej i żółtej, jak niemniej i żyta, są znaczne zapytania z Czech i Morawii, i chętnie kupują tamtejsze młyny tak gotowy towar, jak niemniej na termina dwu- i trzymiesięczne, płacąc do 40 ct. na 100 Kilogr. wyżej notowań. Srednie gatunki są zupełnie zaniedbane i tylko wtenczas znajdują odbiorcę po możliwej cenie, jeżeli producent 2—3-miesięczne respiro udzieli kupującemu.

Za ładnym jęczmieniem — którego w tym roku u nas tak mało, — jest dość znaczny popyt, tak samo rzepak zimowy znajduje chętnych odbiorców do Niemiec, gdzie tamtejszym olejarniom udzielono wybijanie oleju z rzepaku transito — na eksport zagraniczny.

Nasiona pastewne, a w szczególności koniczyna czerwona, bez względu na jakość, znajduje bardzo chętnych odbiorców, i wiele też zawarto transakcyj, płacąc całą należytość z góry przy kontrakcie na dostawę w Grudniu i Styczniu.

Groch, bobik i wyka są poszukiwane, a szczególniej piękny groch „Victoria". W tych produktach ogranicza się jednak handel, gdyż gospodarze, zajęci młocką pszenicy, żyta i t. d. nie mają gotowego towaru i zachowują się biernie, wyczekując jeszcze lepszych cen, które jednakowoż dziś są tak znaczne w stosunku do innych produktów, że wątpimy, czy ta oczekiwana zwyżka z wiosną nastąpi.

Kartofle pomimo gnicia, są bez popytu, i płacą za nie loco gorzelnia od 40 do 50 ct., rzadko zaś w stronach, gdzie ziemniaki mniej uprawiają — więcej.

Za chmielem, choć sporadycznie, są zapytania z Czech, lecz tylko za wyborowymi, jasnymi gatunkami; gorsze sorty są bez popytu i ceny. W Norymbergii i Zaacu wszystkie lepsze gatunki zostały — choć po bardzo miernych cenach sprzedane, gorszym jednakoż towarem są magazyny tak przepełnione., że go nawet w miejscu przyjmować nie chcą.

Obecnie podajemy ceny, jakie płacono u nas w ostatnim tygodniu:

Pszenica gotowa	6·—	do	7·35
Żyto gotowe	5·—	„	5·80
Owies obroczny	5·50	„	—·—
Jęczmień	5·—	„	7·—
Rzepak usposobienie dobre	9·—	„	10.30
Groch	6·50	„	9·—
Wyka	4·50	„	5·75
Bobik	—·—	„	—·—
Hreczka	6·—	do	6·25
Kukurudza	4·—	„	4·50
Koniczyna czerwona	42·—	„	46—
„ biała	47·—	„	55·—
„ szwedzka bez odbiorcy	—·—	„	—·—
Chmiel nominalnie	od 10·—	„	30·—
Spirytus przy lepszem usposobieniu za 10.000 litr. prc.	23·75	do	24·15

GŁÓWNY SKŁAD NASION

TEOFILA ŁUCKIEGO

we Lwowie

Przeniesiony został ze Lwowa

do własnego zakładu Produkcyi Nasion do MEŁNY,
poczta: **Strzeliska nowe,**

zkąd wszelkie zlecenia uskutecznia i rozseła po cenach znacznie niższych z powodu mniejszych kosztów administracyi.

Wszelkie w zakres handlu tego wchodzące artykuły utrzymuję tak samo jak poprzednio we Lwowie.

Adresować uprasza: **Do pierwszej krajowej produkcyi i głównego składu nasion TFOFILA ŁUCKIEGO w Mełnie, poczta: Strzeliska nowe.**

Najnowszy Cennik zawierający: Wszelkie nasiona, Pflance, Haarlemskie cebulki kwiatowe, Bukiety, tudzież Sukna łańcuckie, Bundy, Buty sukienne, Oliwę do maszyn i Smarowidło, **Pasy do maszyn i młocarń** — odseła na żądanie franco.

Polecając usługi swe dalszym łaskawym względom, kreślę wyrazy głębokiego uszanowania,

Teofil Łucki
Pierwsza krajowa produkcya i główny skład nasion w Mełnie, poczta: Strzeliska nowe.

(15, 3—3)

Magazyny: Rynek l. 30, i ulica Halicka l. 6.



J. CIROK

przedtem

E. ZIEGLER

RĘKAWICZNIK i BANDAŻYSTA

(12, 3—?) **we Lwowie, Rynek L. 30**

pod godłem „RYCERZA"

poleca swój skład własnego wyrobu wszelkiego rodzaju

TOWAROW RĘKAWICZNICZYCH

mianowicie:

wszelkie rodzaje damskich i męskich rękawiczek we wszystkich najnowszych barwach, amerykańskie jelonkowe pantalony, skóry łosiowe i jelonkowe do pokrycia łóżek, poduszki, torby, czapki mundurowe i cywilne, szelki, krawatki, szaliki, bandaże płócienne i elastyczne, pończochy gumielastyczne, oraz rozmaite wyroby skórkowe

po stałych i umiarkowanych cenach.

Zamówienia z prowincyi uskuteczniają się odwrotną pocztą.

Magazyny: Rynek l. 30, i ulica Halicka l. 6.

HANDEL

ANDRZEJA LANGNERA

we Lwowie,

Rynek L. 9, (arcybiskupia kamienica),

poleca

WYBORNĄ HERBATĘ

w odzielnym lokalu trzymam tylko w najlepszych gatunkach sprowadzoną wprost przez najznakomitsze firmy, do tej polecam

MASŁO ŚMIETANKOWE

codziennie świeże.

Również otrzymać można w moim handlu **mąkę** z najlepszych parowych młynów, jakoteż **krupy, kukurudziankę,** dobry **bulion** dworski ze zwierzyny, dobre zdrowe **wina** oryginalne węgierskie, austryackie i **cognac** kuracyjny. (14) 2—3

WYPŁACAMY

przed terminem płatniczym wylosowane

4%	Listy zast Tw. kr.	100.—	zł.	bieżący kupon osob.
5%	„ „ „ „	100.15	„	
5%	„ „ Ban. hip.	100.10	„	
5%	„ „ B. hip. pr.	100.10	„	
6%	„ „ Ban. hip.	100.30	„	
	Obligacye indemnizac.	105.—	„	

Sokal i Lilien

Dom bankowy i kantor wymiany

we

Lwowie.

8, 3—?

Trzy medale zasługi na wystawa[c]h krajowych

FABRYKA GIPS[U]

Józefy Franz

we Lwowie ul. Gipsowa l.

skład ul. Rzeźnicka l. 16,

poleca swe wybory jako to:

I. gips bardzo miałki i bardzo bia[ły] do sztukateryj i rzeźb.
II. gips bardzo miałki i mniej biały [do] sztukateryi i rzeźb. (5, 16—40)
III. gips budowlany.
IV. gips surowy czyli nawozowy.

Ces. król. uprzyw.

Rafinerya Spirytusu

FABRYKA RUMU, LIKIERÓW I OCTU

JULJUSZA MIKOLASCHA

we Lwowie

poleca (6, 3—∞)

Spirytus najczyściejszy

dla fabryk **Likierów** i do fabrykacyi **Perfum,** dla pp. Aptekarzy i t. d.

ROSOLISY NAJPRZEDNIEJSZE, WÓDKI MOCNE POLSKIE i t. d.

wszystko po cenach umiarkowanych.

Fabryka i skład broni

ALFREDA DZIKOWSKIEGO

we Lwowie, ulica Karola Ludwika L. I.

poleca po cenach **najumiarkowańszych:**

największy wybór rewolwerów i broni myśliwskiej,

500 dubeltówek systemu Lancaster z najcelniejszych fabryk świata znajduje się na składzie.

Skład fabryczny IGLICÓWEK systemu *Teschnera*

oraz **LANCASTRÓWEK „DIANA"** wyrobu Henri Piepera w Liege.

Największy skład **patronów** do wszystkich dotąd istniejących systemów i kalibrów. — Cenniki ilustrowane wyseła się na żądanie. (1, 4—∞)

Zimne i gorące

ŚNIADANIA

oraz 17 2—?

wyborne zawsze świeże

Piwo pilzneńskie litra 34 ct., flaszka 17 ct. **Piwo lwowskie marcowe** litra 20 ct., flaszka 10 ct. **Piwo bawarskie Culmbach. Porter angielski, Wina** i t. p. poleca

HANDEL DELIKATESÓW

ST. WOJCIECHOWSKIEGO.

Lwów, ulica Chorążczyzna.

SKŁAD MEBLI

obficie zaopatrzony we wszelkiego r[o]dzaju wyroby własne

podług (4, 3—∞)

wzorów francuzkich i wiedeńsk[ich]

poleca

Wiktor Świstersk[i]

stolarz, róg ulicy Tetralnej.

FILIP HAAS i Synowie

Fabrykanci dywanów i okryć na meble, Liweranci c. k. Dworu we Wiedniu.

Wyłączny skład dla Galicyi

we LWOWIE

(16, 3—?) **przy ulicy Jagiellońskiej liczba l. a**

polecają w obfitym wyborze:

Materje na meble

Dywany, Serwety, Kapy i Kołdry flanelowe, Firanki, Portiery, Pledy i kołderki podróżne, Chodniki dywanowe, jutowe, wełniane i kokosowe

Tapety papierowe **po stałych cenach fabrycznych.**

Fabryka wyrobow ceramicznych

(11, 2—3) **w Glińsku — poczta Żółkiew,**

poleca swoje wyroby

Piece kaflowe

rury do drenu

jako też:

a mianowicie:

dachówki

glinę ogniotrwałą

Zamówienia przyjmuje **ARNOLD WERNER**

we Lwowie.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Jan Nepomucen z Oleksowa Gniewosz.**

Z drukarni Anny Wajdowiczowej (pt. Poremby), Rynek l. 9

Pod zarządem Szczęsnego Bednarskiego.